№ 49 Piątek, dnia 3 Września 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 22 Sierpnia (3 Września)
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE” wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. **4** kop. **50**; miesięcznie k. **38**.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. **6**; —
kwartalnie rs. **1** kop. **50**.

REDAKCYA
przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769*b*.
(nowy 12) róg Nowiniarskiej.

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 48).

Senatorowa Krasnopolska była rodzoną stryjenką Wandy. August, starszy brat ojca Wandy, służył w gwardii W. Księcia Konstantego i konsystował z pułkiem w Warszawie. Uderzająco piękny i gładki kawaler, pokochał i miał szczęście nawzajem się podobać pannie Helenie W. ładnej i ujmującej jedynaczce bogatych rodziców i pomimo że sam był miernego funduszu, wszakże poprowadził ją do ołtarza.

Takie niesprawiedliwości zdarzały się jeszcze w tamte czasy, kiedy młode panny źródło swoich uczuć miewały w sercu, lecz nie w głowie często przewróconej, jak się to dziś niestety zwykle dzieje.

Ten krok sprzeciwiający się zupełnie zasadom konsekwentnego pozytywizmu, nie wyszedł wszakże na złe pannie Helenie, bo pozyskała męża szczerze ją kochającego i nieposzlakowanego honoru człowieka, który ją osłaniał tak serdecznie opieką i taktowem przewodnictwem, że pani Augustowa, aczkolwiek piękna, światowa i trochę lekkomyślnego charakteru, wśród ponęt i pokus które ją otaczały, przeszła wszakże zwycięzko, tak, że złośliwość ludzka dotknąć jej nie mogła; na funduszu i pozycyi w świecie także nie straciła, bo pan August fortuny nie strwonił, a owszem, dobrym zarządem jeszcze ją zaokrąglił, a że był jednym z tych ludzi, co to nie tylko samą powierzchownością zwracają na siebie uwagę, podawszy się do dymisyi przeszedł w służbę cywilną i przechodząc szybko stopnie hierachii urzędowej w krótkim czasie stanął wysoko i został senatorem. Do zupełnej szczęśliwości pożycia państwa Krasnopolskich brakło tylko dzieci, których im Pan Bóg odmówił, ale że oboje byli wesołego temperamentu i lubili towarzystwo, zapełniali więc jak mogli próżnię swojego życia.

Po kilkunastu leciech niezamąconego pożycia, senator Krasnopolski zmarł przedwcześnie, bo w sile wieku; wdowa była niepocieszoną, pogrążona w ciężkiej rozpaczy, prosiła tylko Boga o skończenie życia, które jej było ciężarem, nerwowe przypadłości nieustawały. Lekarz który ją miał w swej opiece, zalecał co najrychlej wyjazd zagranicę i na całym arkuszu rospisał marszrutę wędrówki, która prowadziła w kółko po całej Europie, a znać dobry to był lekarz i wiedział czego pacyentce potrzeba, bo senatorowa ściśle trzymając się jego przepisu, po roku podróży powróciła zdrowa, rzeźwa, wesoła, odświeżyć kazała na nowo swój apartament, porobiła wizyty wszystkim znajomym, otworzyła salon jeden z najświetniejszych i odtąd płynęło jej życie swobodnie i przyjemnie, zimą w Warszawie, latem zaś, znać lękając się recydywy, wyjeżdżała corocznie zagranicę.

Otóż taka była historya życia właścicielki salonu, w którym się dzisiaj zbierało liczne i eleganckie towarzystwo.

Senatorowa ubrana strojnie w sukni jedwabnej popielatej, suto ugarnirowanej białemi blondynami, w aksamitnej mantyli i eleganckim czepeczku z ciemnym kwiatem, przyjmowała uprzejmie gości i robiła honory salonu z wprawą światowej gospodyni domu. Towarzystwo coraz się zwiększało, senatorowa co chwila podchodziła na środek salonu na przywitanie nowych gości, przedstawiała nieznajomych sobie, grupowała towarzystwo, formując kółka sympatycznych sobie osób, do każdego coś przemówiła, nikogo nie zaniedbała, o nikim nie zapomniała i wszyscy w ogóle, a każdy z osobna czuli uwagę gospodyni na siebie zwróconą.

Salon był już pełny, kiedy drzwi od przedpokoju się otwarły i kamerdyner donośnie zaanonsował:

— Pani Gasztoldowa z córką i siostrzenicą!

Głos kamerdynera zapanował nad gwarem rozmowy, wszyscy ku drzwiom zwrócili oczy, do salonu weszła pani Gasztoldowa, a obok niej Anna i Wanda.

Powagę pięknej postawy pani Gasztoldowej podnosił jeszcze strój czarny ale dostatni i z gustem do okoliczności zastosowany. Wanda i Anna miały na sobie jednostajne niebieskie, jedwabne suknie, skromnie i bez przesady, ale modnie i elegancko zrobione, włosy nie upiętrzone w dziwacznej fryzurze, ale po prostu, z gustem i do twarzy ułożone, a końce ich w kilku gęstych, lokach spadały na śnieżne ramiona w miarę odkryte. Anna wysmukła, ładna i szykowna, wdzięcznie w tym stroju wyglądała, ale Wanda nigdy jeszcze tak piękną nie była, i wszystkich też oczy na nią się zwróciły. Czy Wanda to spostrzegła, czy może jaka inna myśl zajmowała ją w tej chwili, ale kiedy znalazła się wśród świetnego salonu wielkiego świata, na piękne jej usta wybiegł nieznaczny uśmiech tryumfu.

Senatorowa z uprzejmą skwapliwością podbiegła na spotkanie pani Gasztoldowej, a powitawszy serdecznie drogą kuzynkę jak ją nazwała, poprowadziła ku głównej kanapie na której znalazło są miejsce niezajęte, zapoznała z poważniejszemi paniami, poczem wzięła Wandę za rękę i przedstawiła jako synowicę swojego męża. Senatorowa z właściwą sobie serdecznością, szczerze a po swojemu zajęła się swemi powinowatemi i pragnęła wprowadzić je w najświetniejsze towarzystwo Warszawy. Pani Gasztoldowa nie bardzo się temu opierała, bo wyruszywszy raz ze wsi, chciała skorzystać z pobytu w Warszawie, ażeby dzieweczkom swoim dać cokolwiek poznać inny jeszcze świat i innych ludzi, jak ci, których dotąd widziały. Senatorowa wszelkich usilności postanowiła dołożyć, ażeby to pierwsze wystąpienie młodych panien, a zwłaszcza synowicy, która jej odrazu do gustu przypadła, uczynić o ile można najświetniejszem i ukazać ją w najpochlebniejszem świetle, i w tym celu postarała się, ażeby raut dzisiejszy był i liczny i z wyborowych osób złożony.

Jeden róg obszernego salonu, jak wiankiem obsiadły różnobarwnie strojne panienki, wiodąc ożywioną rozmowę we francuskim języku z otaczającą je męzką młodzieżą. Tam Senatorowa poprowadziła Annę i Wandę i poznajomiła je z pannami, które zrobiły im miejsce pomiędzy sobą. Ten tłum obcych zupełnie ludzi, ta świetność, ta chłodna grzeczność ujęta w formę etykiety, na Annie zrobiły wrażenie onieśmielające i nie ledwie przykre, zrobiło jej się ciasno i duszno w tej atmosferze zupełnie nie swojej, widziała w około siebie życie sztuczne, do formy naciągnięte, do jakiego nie przywykła wcale, patrzyła i nie umiała zdać sobie sprawy czy ci ludzie bawili się istotnie, czy tylko pozór zabawy usiłowali zachować, to wszystko ją dziwiło, ale nie bawiło wcale.

Inaczej jednak działo się z Wandą, ta jakby całe życie swoje w tym towarzystwie spędziła, ze szczególną łatwością w nie się wcieliła; ta myśl, że osiągnęła nakoniec tyle upragniony cel i wyrwała się po za obręb cichego domowego życia, które jej tak bardzo ciężyło, dała jej swobodę i zadowolenie. Wanda pewną była że ten pierwszy krok ułatwi jej dalszy pochód na drodze, po której iść pragnęła. Będące w jej charakterze usposobienie zdobywcze, nie pozwalało jej zatrzymać się na tym pierwszym kroku, i może nawet bezwie-

dnie ulegając tylko wrodzonym skłonnościom, śmiało pomknęła się naprzód. Z zadziwiającą więc zręcznością i przytomnością umysłu, nie tylko że natychmiast wzięła udział w rozmowie otaczającego ją kółka, ale powoli zabrała całkowity jej ster. Wanda obdarzona była jednym z tych potężnych umysłów, co to nad każdą sytuacyą zapanować umie; pomimo swego młodocianego wieku, miała bystrość obserwacyi samorodną a niepospolitą, ten jakby zmysł odrębny, którym odgadywała to, co dla niej było obcem i nowem zupełnie, tu więc jakby już doświadczona w rzeczach świata i ludzi, natychmiast zrozumiała jakiego nastroju była otaczająca ją młodzież i do tego się zastosowała. Spokojem swoim i pewnością siebie zaimponowała wszystkim; panny z zadziwieniem patrzyły na tę fenomenalną wieśniaczkę i przygryzały usteczka, młodzież męzka zainteresowała się nią i otoczyła do koła, każdy pragnął się do nie zbliżyć, mówić z nią, a ona jakby od dawna obyta z salonowym trybem, umiała rozmowę i interesującą i przyjemną uczynić.

Tak to już w porządku rzeczy leży, że jak roślina tylko na właściwym sobie gruncie prosperować może, tak i człowiek tylko w odpowiednich swojemu usposobieniu warunkach silnym bywa. Wanda w zaciszy domowej wegetować się zdawała, tutaj wśród wiru publicznego życia, żyła całą pełnią sił swoich.

Anna patrzyła na nią zdumiona i oczom swoim wierzyć nie chciała. Pani Gasztoldowa, która zdaleka śledziła bacznie każdy ruch i słowo córki i siostrzenicy, była głęboko zaniepokojoną, a senatorowa nie posiadała się z radości.

Po herbacie gospodyni domu zbliżyła się do panien z propozycyą, ażeby która zagrała, mężczyzni przyłączyli prośbę o to.

Hrabianka Aniela J. przystojna blondynka, która dotąd była niezaprzeczoną królową wszystkich balów i rautów, ukłuta tem nie spodzianem zjawieniem się i powodzeniem Wandy, w której przeczuwała niebzpieczną rywalkę, przyjęła wyzwanie i poszła do fortepianu w nadziei, że tą razą przynajmniej usunie ją z salonowego świecznika. Hrabianka Aniela kształciła się w muzyce w kraju i zagranicą u najlepszych artystów jakich gdziekolwiek spotkała na swojej drodze, i uważaną była w salonach Warszawskich za najznakomitszą fortepianistkę; usiadła więc, pewną ręką wzięła kilka grzmiących akordów i z wprawą i pewnością salonowej artystki, nawykłej do występowania w obec licznych łsuchaczów, przebiegła całą klawiaturę świetnym pasażem i zagrała szumną fantazyę Thalberga. Gra Hrabianki była pełna efektu, dowodziła niezwykłej biegłości i mechanizmu, zalewała słuchaczów deszczem dzwięcznych perełek co z pod różowych paluszków wirtuozki wybiegały w czystym i świetnym pasażu, ale przy takiej muzyce słuchacz się nie zadumał głęboko, ani unieść się duchem w wyżyny nie potrafił; nie robiła wrażenia wcale, a wraz z ostatnim akordem i pamięć o nim przebrzmiała. Zrazu na pierwsze dzwięki fortepianu, w salonie nastała cisza zupełna, ale powoli rozpoczynać się zaczął na nowo szmer rozmowy i ucichł dopiero wtedy, kiedy ostatni grzmiący akord zmusił wszystkich do konwencyonalnego ukłonu podziękowania. Wanda zbliżyła się do siedzącej jeszcze przy fortepianie panny Anieli i zaczęła mówić z nią o muzyce, a stojący bliżej mogli zauważać z rozmowy, że i Wanda muzykę posiada i rozumie, to dało powód, że zaczęto ją prosić ażeby także zagrała. Wanda nie każąc się długo prosić, ale też i bez cienia chełpliwości usiadła na miejscu hrabianki Anieli, która jej swego miejsca ustąpiła, nie mogąc się wszakże wstrzymać od ironicznego uśmiechu. Wieśniaczka, popisująca się z muzyką w tak świetnem towarzystwie, w owe czasy, kiedy muzyka nie była jeszcze tak powszechnie i w takim stopniu uprawianą jak dzisiaj, zdawało się to być niezmiernie śmiałem. Senatorowa która nieznała jeszcze gry Wandy, zaniepokoiła się, czy ta nie bierze czasem nad siły, pobiegła więc do fortepianu.

— Nie rób sobie przymusu mój aniołku— mówiła do Wandy,—może po podróży czujesz się jeszcze strudzoną, a ja wiem jak to w takim razie grać ciężko i nieprzyjemnie.

— Nie stryjeneczko, grać mogę i czuję się dobrze usposobioną—odpowiedziała Wanda, i grać zaczęła poważny wstęp do sonaty Bethowena Cis moll.

Ktokolwiek zna ten przepyszny utwór nieśmiertelnego mistrza, ten wie, z jaką potęgą w posłusznych sobie tonach odtworzył on wszystkie wachania wzburzonej duszy człowieka znajdziesz tam smętną zadumę i błagalną modlitwę, jęk rozpaczy i zimne, surowe powoływanie do obowiązku; wszystko to ujęte i żywo odbite w tonach tak potężnych, a prostych i rzewnych, że serce co nie zadrgnie pod tą olbrzymią harmonią, chyba już dawno zdrętwiało.

Wanda grała tak jakby mistrz przelal w nią uczucia i myśli swoje, któremi był miotanym w chwili tworzenia. W wykonaniu znać było że młoda artystka odczuła je i całkowicie pojęła, bo z pod jej ręki wysnuwała się ta sama myśl wielka, to samo namiętne uczucie, takiem potężnem życiem drgające, jakby tylko co się wydarło z duszy, targanej srogą wewnętrzną walką. Wanda była prawdziwą artystką i gdy raz dotknęła klawiszów, muzyka pochłaniała całe jej jestestwo i tą razą widocznie zapomniała gdzie była, co ją otaczało, a cała duszą uniosła się natchnieniem i żyła w myśli, którą odtwarzała porywając za sobą słuchaczów. Wszyscy uniesieni, zasłuchani chwytali uchem każdy ton, który im się gorąco w piersi odbijał. Może wśród towarzystwa nie wielu było prawdziwych znawców muzyki, ale muzykę Wandy nawet i profani zrozumieli; skończyła, a przepyszna sonata jeszcze każdemu brzmiała w pamięci i wszyscy tak byli pod jej wrażeniem, że przeszła chwila jak ostatnie tony ucichły, a nikt z podziękowaniem artystce się nie spieszył; pierwszy ruszył się niepozorny staruszek, który zaraz na początku gry Wandy, wyszedł z bocznego pokoju w którym kilku starszych mężczyzn grało w bostona, stanął w progu po za portyerą i słuchał ze szczególną uwagą; kiedy grać skończyła, zbliżył się natychmiast wypowiadając słowa wysokiego uznania dla jej muzyki, i powinszował tak artystycznego wykonania utworu znakomitego mistrza, za nim cisnąć się zaczęli inni, obsypując Wandę tysiącznemi pochwałami i uwielbieniem. Staruszek cofnął się napowrót do drugiego pokoju; założył w tył ręce i chodził zamyślony wzdłuż i w poprzek mrucząc coć z cicha, znać miał przyzwyczajenie mówić głośno do siebie, a po niejakiej chwili, podszedł do stolika, wziął karty z rąk swego zastępcy i grał dalej ale widocznie był roztargniony i zaprzątała go jakaś myśl obca. Senatorowa była uszczęśliwioną i do łez rozrzewnioną, nie muzyką, bo na tej ani odrobiny się nie znała, ale tem, że Wanda, jej synowica, nosząca to samo nazwisko tyle oklasków i ogólny hołd pozyskać potrafiła; dla kobiety tak usposobionej jak była senatorowa, tego aż nadto wystarczyło, ażeby Wanda serce jej pozyskała w zupełności. Odtąd już niezaprzeczenie Wanda stała się gwiazdą całgo zebrania, inne gasły, a na nią zwróconą była uwaga i admiracya powszechna. Wanda wszakże zdawała się nie spostrzegać tego, całe jej zachowanie się było naturalne, bez pretensyi i zarozumiałości, co nadawało jej szczególną moc uroku, którym obrzucała wszystkich w około, a mianowicie mężczyzn. Zdobywała choć o zdobywaniu nie zdawała się się nawet myśleć, szło to zupełnie bezwie-

U OGNISKA.

(T. T.) Po śnie dwumiesięcznym, który dają nam zwykle wakacye, Warszawa wraca znowu do życia. Życie to objawia się wprawdzie jeszcze bardzo niepewnemi symptomatami, ale Bóg zapłać i za to bożkowi *czuwania* i *ruchu*, jeśli bożek taki włada na Olympie. W każdym razie kurzu już mniej na ulicach— tretoary mniej rozpalone, odreperowane, jakby przygotowane umyślnie do chodzenia (co rzadko się u nas zdarza!) — po ulicach kręcą się częściej przewoźnicy z węglem, krzycząc na całe gardło — aktorowie wracają do teatrów swoich—tu i owdzie ukazuje się panicz lub panienka jaka z mamą, przybywająca z Karlsbadu lub ze Szwajcaryi — tam panna Filomena czy Filipomena przebiera po welocypedzie nóżkami, piekielny za to wywołując oklask ze strony studentów gimnazyalnych.... no, jak chcecie państwo, wszystko to coś znaczy. Okropna bo też to pora, ten czerwiec i sierpień, dla wszystkich, co mając chęć nieprzebraną do podróży, rozmaitości, nowych zdarzeń i romansów, muszą pomimo tego, z powodu tylko braku nędznej kopiejki, pozostawać w murach miasta i... do tego jeszcze pisać fejleton! Gdyby nie liczenie na trochę przyjaźni czytelników, gdyby nie wiedza, że zabawiając ich jako tako, staje się człowiek istotnym dobroczyńcą ludzkości,—można by pójść wprost na most żelazny i, przeżegnawszy się po chrześcijańsku, rzucić się w wodę. Gdybyż w wodę jeszcze—miły Boże!—byłaby śmierć lekka przynajmniej; ale, oto Wisła nasza teraz oryginalną rzeką się stała. Zamiast wody, mieliśmy po jej przestrzeni ławy piaszczyste i kamieniste, na które spadając z małej chociażby wysokości, dobrze sobie boki obtłuc było można. Świat się najwyraźniej do góry nogami wykręca!

Tandem—bo wracam do rzeczy—kanikularne miesiące już przeszły i mamy jesień przed sobą. Kurjery zapowiadają nam dużo nowych przyjemności.

Pan Drntc (kto to nazwisko jasno wymówi, przyrzekamy mu premium z liści laurowych!) pan Drntc mówię, nagrawszy się na trąbie swojej, raczej na trąbach orkiestrantów swoich dowoli, ma uciec wprawdzie wkrótce z Doliny Szwajcarskiej, ale.... co nam tam po panu Drntcu w Dolinie! Uciekają podobno tak samo za dni kilka panowie Trapszowie, Tekslowie, Grabińscy etc z Eldoradów swoich, Alhambr, Tiwolów i Antokolów, ale.... co nam tam po nich wszystkich, powiemy znowu. Będziemy mieli za to swój własny teatr.... alboż to Warszawie prosić się panów dyrektorów prowincyonalnych, by ją ci ba-

dnie, jakby samo z siebie, niezależnie od jej woli. A jednak, kiedy tego wieczora, wróciwszy do domu, znalazła się sama w swoim pokoju, odetchnęła pełną piersią a podniosłszy oczy i złożywszy ręce szepnęła: „Dzięki Ci Boże!“ a w twarzy i głosie miała taki wyraz zadowolnienia i uspokojenia jaki posiada ten który po długiej walce z falami, dobił nakoniec do upragnionego brzegu i poczuł silny grunt pod stopami.

V.

Pani Gasztołdowa zajęła ładne mieszkanie na Nowym-Swiecie i rozlokowała się na całą zimę, ale pomimo, że i sług kilkoro wzięła z sobą i zapasy spiżarniane w takiej obfitości, że wystarczyłyby jak nic do przekarmienia przez cały rok nie tylko jednej, ale dwóch rodzin miejskich, że i mieszkanie było dosyć obszerne, wszystko to nie nawykłej do miejskiego życia, którego bez żadnej kwestyi porównać ze swobodą i wygodą życia wiejskiego nie można, ciasnem i niewygodnem jej się wydawało. Ale że to była kobieta prawdziwie rozumna, przyjmowała więc wszystkie, nawet przykre, okoliczności życia swego spokojnie, i godziła się z niemi bez wyrzekania. Pobyt swój w Warszawie i wszystkie niedogodności jakie jej się dawały uczuć z powodu tego wyjścia ze zwykłego trybu życia, uważała za jeden z obowiązków swoich, może czasem ciężkich ale koniecznych, jakie na nią kierownictwo i opieka nad córką i siostrzenicą wkładały. Z praktycznością więc właściwą wiejskim gospodyniom, urządziła się o ile można najdogodniej i dążyła głównie do tego ażeby jak najwięcej spożytkować ten pobyt w Warszawie na korzyść Anny i Wandy a mianowicie tej ostatniej, dla której jak wiadomo był głównie poświęconym.

Na drugi dzień po owym wieczorze, któryśmy w poprzednim rozdziale opisali. a który miał się stać ważną epoką w życiu Wandy, w popołudniowych godzinach, pani Gasztołdowa z panienkami siedziała w salonie. Wanda i Anna przypominały sobie raut wczorajszy, który ukazawszy ich oczom tyle nowych rzeczy, dawał niewyczerpane źródło do rozmowy i uwag, których sobie wzajemnie udzielały, pani Gasztołdowa słuchała i usiłowała prostować poglądy swoich dzieweczek. Niepokoiło ją to tak nagłe i przedwczesne powodzenie Wandy, znając ją i jej usposobienie zdobywcze, miała słuszne powody do obawy, ażeby to powodzenie na pierwszym kroku, nie zachęciło, bardziej jeszcze do pożądania coraz więcej zwycięstw, coraz szerszego panowania. Pani Gasztołdowa pojmowała dobrze o ile taka niepohamowana wola mogła być zgubną dla kobiety w ogólności, dla której porządek wszech rzeczy inne drogi wskazał, usiłowała więc o ile można, przytępić łechcące miłość własną wrażenie, jakie sprawić mogły na Wandzie te ogólne pochwały i hołdy uwielbienia, które tak niespodzianie i nagle słano jej wczoraj pod nogi.

Kiedy tak wszystkie trzy zajęte były rozmową, której przedmiot dla każdej z nich, chociaż wprawdzie z różnorodnych względów był wszakże żywo interesującym — ktoś zadzwonił — i nie meldując się wbiegła do pokoju senatorowa, wystrojona, w wielkiej wizytowej toalecie.

— Jak się macie drogie kuzyneczki?—mówiła prędko, witając panią Gasztołdowę, która powstała z kanapy by powitać przybyłą, i całując w czoło panienki, które podbiegły ku drzwiom na spotkanie; zajechałam umyślnie do kochanej kuzyny, ażeby podzielić się z wami radosną wiadomością, że nasze panienki zrobiły wczoraj niesłychaną furorę, od południa jeżdżę z wizytami i wszędzie słyszę tysiące admiracyi, o niczem więcej nie mówią dzisiaj w całem towarzystwie, jak o Wandeczce naszej, wszyscy admirują jej piękność, wyborną manierę, francuszczyznę i muzykę artystyczną, en vérité ma petite, tu as été charmante, adorable — dodała zwracając się do Wandy — przeszłaś wszystkie moje nadzieje i stanęłaś od razu na szczycie chwały, je suis fière que tu portes le même nom que moi.

— Zacne nazwisko, które Wanda odziedziczyła po ojcu wkłada na nią poważniejsze obowiązki nad chwilowe powodzenie w salonie i pozyskanie kapryśnych oklasków, powiedziała, nierada tej paplaninie senatorowej, pani Gasztołdowa.

— Ale zmiłuj że się droga kuzyno, cóż może być bardziej chlubnego dla kobiety jak pozyskać cześć i uwielbienie ogólne?

— Cześć i uwielbienie—nie przeczę—ale tego chwilowego hołdu, ani czcią ani uwielbieniem jeszcze zwać się nie godzi.

— Jakże nazwać inaczej tę ogólną admiracyę, jaką wszyscy byli przejęci dla jej pięknej, dystyngowanej powierzchowności, układu, znalezienia się i znakomitego talentu?

— Ta tak natychmiastowa admiracya, odnosząca się do rzeczy powierzchownych, odwodzi tylko że uwielbiano, jak przysłowie mówi — nowe sitko na kółku. Toć przecie w kilka godzin niepodobna nikogo sprawiedliwie i do gruntu ocenić, a taka łaskawość na niczem nieugruntowana, bywa bardzo zmienna; ze wszystkich tych pochwał, jedno tylko uznanie jej muzykalnego talentu może Wandzie godziwą przyjemność zrobić i stać się dla niej pożytecznem, bo ją zachęcić powinno do scislej pracy i kształcenia się na tej drodze.

— Pozwól sobie powiedzieć kochana kuzyno, que vous-êtes infiniment sevère, — powiedziała senatorowa zcicha, ale tak wszakże, że i Wanda to usłyszyła — czy i ona również o zbytnią surowość ciotkę posądzała—niewiemy—ale spojrzała na senatorową z wyraźną wdzięcznością.

— Bóg widzi, — odpowiedziała na ten zarzut pani Gasztołdowa, że nie grzeszę zbytnią surowością, lękam się tylko, ażeby Wanda złudzona blichtrem światowego hołdu, nie pogoniła zbyt skwapliwie za tą bańką mydlaną, która jej w zamian, za świetne swe barwy, tylko trochę mętnych szumowin zostawi. Przybyliśmy tu, do Warszawy, gdzie jest wiele sposobności do kształcenia się, po naukę, i pragnęłabym aby Wanda i Anna z poświęconego na to czasu skorzystały o ile można najwięcej, mam zamiar uprosić szanowną kuzynkę, ażeby nam w tem dopomogła, a mając rozległe tutaj stosunki, wskazała ludzi takich, którzyby z korzyścią mogli udzielać lekcyi moim dziewczątkom.

(*D. c. n.*)

SZKICE
z
Ciekawszych miejsc w Niemczech.

Teofila Tarczy.

Eisenach.

W krainie Bismarka, ku południowi wielkiej doliny, doliną Wendów przez ironią chyba dziś jeszcze nazywanej, leży ziemia górzysta, czysto już germańskiej przeszłości, nosząca od wieków nazwę Turyngii (Thüringen land po teutońsku). Stanowi ona sam środek prawie długiego pasa gór północno-niemieckich, opierającego najdalszą końcżynę swoję ku wschodowi o źródła Odry, ku zachodowi zaś o koryto Niższego Renu.

Otóż dziwić się potrzeba, dlaczego w pamiętnikach podróży wszystkich prawie turystów naszych, tych właśnie, którzy o Niem-

---

wili?.... swój własny teatrz mówię, i koncerty w Resursie Obywatelskiej, odczyty publiczne *pięciogroszowe* i tańsze, lepsze artykuły bo lepiej płacone po pismach, uniony, reuniony, herbatki wieczorne z puterznitami, tańce tu i owdzie, miłą wrzawę włoskich kataryniek, poemata nowe w świeżych wydaniach, świeży pekeflejsz od Hamera, uśmiechy najmilszych piękności naszych które powróciły, masę gazu po ulicach, jabłka piętnastogroszowe po obiedzie, wodę czystszą do samowarów i... o nieba, to już nadmiar szczęścia... loteryą fantową w Saskim Ogrodzie! A cóż? czy to wszystko mało? czy na wieść o tych wszystkich roskoszach nie bije żywiej serce, zarówno pod fiszbinowym stanikiem młodej piękności, jako i pod jesiennym paltotem emeryta, który wydeptuje aleyę pod pompą?

Smutna wieść jednakże dochodzi nas z zagranicy. Królikowski zachorował podobno dość niebezpiecznie i przez kilka tygodni jeszcze ma zamiar się leczyć u wód jakichś. Oby tylko choroba nie chciała się i na dłużej przeciągnąć. Bez tego artysty teatr nasz smutno jakoś zawsze wygląda... mimo że go bardzo ożywiają panny Romany Popiel, Modrzejewskie, Rakiowiczowe i panie inne. Mimowoli przychodzi zapytanie do głowy, dlaczego pewną artystkę, która ślicznie na scenie naszej podczas lata się popisywała, której wszyscy klaskaliśmy z entuzyazmem, wyprawiono tak prędko gdzieś za góry za lasy, zamiast ją tu nadal zatrzymać i cieszyć się dalej jej talentem? Czy ta pani zawadzała tu komu? czy sztukę wziąwszy ktoś w entrepryzę, obawiał się, by mu nie psuto interesów?

Próby z Kopernika odbywają się już podobno na scenie. Pan Rapacki ma nam zatem dać nowy do oglądania utwór. W ciągu kilku miesięcy po Wicie-Stwoszu — to dosyć. Słyszymy, że wielu innych jeszcze poetów i autorów pracuje nad warsztatem dramatu. Konkurs się zbliża... mówię Krakowski, bo na nasze nie liczymy wcale... Panowie scenopisy, do porządku!

A ciekawa też rzecz istotnie, ilu z autorów naszych i pisarzy da kreacye swoje pannie Romanie Popiel i pani Modrzejewskiej, z początkiem nowego przyszłego roku, do osądzenia? I ciekawa, czy sędziny będą łaskawe? i ciekawa, czy sztuki będą dobre? Winszujemy w każdym razie powodzenia tym amatorom 600 rs.!

Lecz nie o tem chciałem mówić.

Chciałem pogawędzić oto z wami o nowej Wystawie Filadelfijskiej raz jeszcze, i spytać się czy też nie wiecie drodzy czytelnicy przypadkiem, jak wielu wystawców z kraju naszego, myśli oczy Amerykanów oślepić wytworami swojego kunsztu, po za oceanem? Jakoś bardzo cicho pod względem całej tej sprawy. Nie widać aby się tłoczo no

czech cokolwiek nam podają, tak mało tylko albo czasem i nic wcale, nie wspominają o Turyngii — kiedy przecież to ziemia ze wszech miar godna opisu. W istocie, mało jest miejsc w Europie, gdzieby poezya natury z poezyą wiejącą na nas od przeszłości, z poezyą podań, z tą właśnie, którą po sobie pozostawia historya, bardziej się łączyła, jak tu. Gdyby w tej krainie nic innego nie było do obejrzenia, nad sam tylko zamek Wartburg, wraz z leżącem u stóp jego miastem Eisenach, to i toby powinno już być dostatecznem, aby uwagę mniej ciekawego nawet podróżnika, ściągnąć na nią i do odwiedzenia jej go skłonić. A tembardziej, gdy miejsce i pod względem malowniczości położenia, piękności krajobrazów, tudzież innych zalet zewnętrznej już czysto natury, niemniej się zaleca. Tak jest —to „serce Germanii," jak Turyngią niemieccy poeci i lud niemiecki w pieśniach swoich i w podaniach powszechnie nazywają, stanowi bez wątpienia i pod tym ostatnim względem jeden z najbardziej miłych i romantycznych zakątków w Europie.

Las gęsty i stary, który cały środek tej krainy niby jednym wielkim płaszczem pokrywa,— strumienie i rzeczki, które się między drzewami jej gór i dolin, z pod stóp skał wymykając lub też spadając ze szczytów, wstęgami o tysiącu splotach sączą, — rozkoszne łąki ponad ich brzegami, — tajemnicze groty i zaułki,—wąwozy i urwiska, w których labiryncie gubi się oko, tudzież ułożone w najfantastyczniejszy sposób wzgórz piętrowania, u szczytu Beerbergu czyli *góry niedźwiedziej* mające swoję koronę, — wszystko to razem wzięte, stanowi całość tak piękną, iż tylko chyba okolice greckiej Arkadyi o pierszeństwo w tym względzie z Turyngią walczyć mogą.

W niniejszych notatkach, my nie mamy również zamiaru podać czytelnikowi całego obrazu krainy, o której mowa, gdyż opis podobny zbyt dużo zająłby stronnic,—jale podamy mu tylko szkice z tych jej mie scowosci, które pod względem historycznym i obrazowym, są najgodniejsze poznania. Miasteczko Eisenach wraz z zamkiem Wartburg, należą bez wątpienia do miejsc takich, i sądzimy, że nietylko dla Niemca, ale i dla każdego interesującego się dziejami przeszłości Europejskiej człowieka, opis ich przedstawić może coś ciekawego i pouczającego nawet.

Do wspomnionych dwóch miejscowości, wiąże się zresztą jeszcze interes innego rodzaju. Świat katolicki znajduje na nich ślady pobytu jednej z czczonych najbardziej Świętych swoich, mianowicie Świętej Elźbiety, opowieść o losach której; złożyła się tu w najpiękniejszą i najpoetyczniejszą legendę, zdolną natchnąć każdego poetę nawet i artystę;— świat zaś protestancki znajduje w tychże miejscach wspomnienia żywsze jeszcze i bardziej go obchodzące, po głównym reformatorze swoim, który, jak wiadomo z historyi, kilka lat młodości swojej przeżywszy najpierw w Eisenachu, przepędził po upływie znów lat kilkunastu, przy tłomaczeniu biblii, rok cały na Wartburgskim zamku, pod przybranem imieniem rycerza Grzegorza.

Co się tyczy legendy o Ś-tej Elźbiecie, to że legenda ta zdolną jest zainteresować sobą nietylko samego katolika ale i w ogólności każdego artystę i poetę, jak to powiedzieliśmy wyżej, — tego dowodem może posłużyć fakt świeży zupełnie, iż znakomity Węgierski kompozytor Liszt, użył ją za treść do wielkiego muzycznego rapsodu, któremu Warszawa miała nawet sposobność, przysłuchać się zbliska.

Otóż, choćby ze względu na tę tylko ostatnią okoliczność, postanowiliśmy sobie, w przejeździe swoim przez Niemcy, porobić ściślejsze nieco notatki o Turyngii, i częścią tych notatek, tą, która się tyczy Eisenachu, spieszymy się najprzód podzielić dziś z czytelnikiem.

Jadąc drogą żelazną od Berlina ku Szwajcaryi, na Witenberg i Wejmar następnie, przez sam środek Niemiec, — spotykamy, po lewej stronie tejże drogi, niewielkie lecz miłe bardzo na oko i w prześlicznej dolinie rozłożone miasteczko, z panującą po nad niem, w południowo-zachodniej stronie horyzontu, niezbyt wysoką górą, na szczycie której, niby orle gniazdo, rozległy zamek, widocznie stary i stanowiący jednę ze średniowiecznych fortec, się czerni.

To miasteczko— to Eisenach.

Ten zamek— to słynny Wartburg.

Obie te miejscowości wydają się samemu już oku podróżnika tak zgodną i nierozdzielną całością, iż i w bliższej obserwacyi ich potem, tudzież zarówno przy późniejszym opisie, niepodobnaby którejkolwiek, jednej z nich tylko, mieć na wyłącznej uwadze. Zobaczymy zaraz, że i ze względu na historyą, nie moglibyśmy postąpić sobie inaczej.

Udawszy się wprost z banhofu, który pomiędzy dwoma szeregami szyn stoi, w kierunku miasta, przez niewielkie zabudowanie prowadzące do niego, znajdujemy się po chwili przed frontem gustownego hotelu, stanowiącego jednakże zaraz na oko część jakąś odmienną i niepasującą wcale do fizyonomii widzianych w dali zabudowań. Nie w tym też hotelu zatrzyma się podróżnik chcący powiedzieć sobie kiedyś, iż mieszkał choćby przez chwilę w objętości murów, które spoglądały na pobożny żywot Ś-tej Elźbiety, oraz na młodość wielkiego reformatora kościoła. Trzeba mu będzie skierować się dalej, na prawo, w dość szeroką i czystą choć mało zabudowaną ulicę, noszącą nazwę *Przedmieścia S. Mikołaja*, z której przez wąską, starożytną bramę tegoż nazwiska, dostanie się odrazu w samo już wnętrze Eisenachu, na tak zwany *Karlsplatz* i następnie przez ulicę Karola, na *Marktplatz* czyli Rynek Targowy, gdzie już miasto, wraz z rysującym się na skraju horyzontu jego zamkiem, wszystkie główne piękności swoje odrazu przed oczy mu wystawia.

W dolinie, w której się wówczas tak pośród niewielkich wcale a nawet małych, lecz bardzo schludnych i miłych na oko zabudowań znajdziemy,— miał przed czternastu wiekami obozować podobno Attyla wraz z piękną żoną swoją a córką Turyngskiego króla, Chriemhildą. Tu wielki pogromca Europy, „biczem bożym" niedarmo przezwany, spiesząc na poskromienie Gallów, Franków i Wizygotów, oczekiwał złożenia sobie daniny i hołdów od książąt niemieckich; stąd, po wypoczynku, ruszył jak zerwana burza, na południo-zachód.

To pierwsze już wspomnienie, unieśmiertelnione strofami Pieśni Niebelungów, każe nam się zamyślić nad przeszłością — zapytać, ile jeszcze przewrotów i kataklyzmów podobnych do napadu Hunnów, Europa przenieść będzie musiała, zanim ludzkość dojdzie do tego, że *miłość* i *rozum* panowanie swoje pośród niej utwierdzą.

Z rynku, w którym jesteśmy, chcący zwiedzić całe miasto, musieliby się teraz udać wprost przed siebie, lub też na prawo, gdzie przeszedłszy kolejno około siedmdziesięciu uliczek większych i mniejszych, krzyżujących się wzajem w rozsnutej niedbale sieci ku północy i wschodowi,— znaleźliby się nareszcie w dziwnie romantycznej, wzgórzami piętrzącemi się zwolna pokrytej okolicy, łono której, niby dwa srebrne węże, dwie rzeki: *Nessa* i *Hörsel*, wodami swemi oplątują. Ponad pierwszą z tych rzeczułek, jak niesie podanie, miało stać kiedyś mnóstwo kuźni i chat kowalskich, od których to i miasto nazwę swoję otrzymało. *Eisenach* mianowicie ma być przekręconem tylko przez późniejszych ludzi brzmieniem wyrazu *Isennaha* lub też *Eisenmachen*, z których pierwszy *bliskość* (Nähe),

---

Czy tam co uradzono — też jakoś nie słychać. Kuryery ledwie nabąknęły o jakichś tam zamiarach *szlachetnych*, o chęciach *pobożnych*, o planach *poczciwych* panów wystawców—ktoś pod Warszawą zebrał w trzy worki wszystkie jakie miał kartofle *ex re* tego... i oto wszystko, co wiemy dotychczas o przyjęciu przez nas udziału w Wystawie. Trochę za mało, jak na naród ucywilizowany za jaki się mamy, jak na adoratorów amerykańskiej emancypacyi kobiet i niekobiet, za których chcemy uchodzić.

A właśnie, à propos emancypacyi kobiet!

Czy uwierzycie drogie czytelniczki, jedna z sióstr waszych i to panna jeszcze, została w tych czasach pisarzem u wójta! Wystawiamy sobie poczciwych wieśniaków naszych, którzy przyszedłszy do kancelaryi najpierwszego swojego dygnitarza, pana naczelnika gminy, zastaną tam za stołem *trzymającego pióro*.... w spódniczce. Toż to się tam niejeden w główkę podrapie! toż to *babie* swojej, po powrocie do chałupy, opowiadać będzie, co widział!

— Nie wykpiwaj Kuba—odpowie mu na to połowica.

— Bodajem wybił trzy zęby — odpowie znów na to pan chałupy.

Po tem wszystkiem, na zakończenie, wypada mi już tylko złamać pióro, i pobiegłszy co prędzej do Kuryera, podać tam ogłoszenie, jako kawalerowi, czy która z panien naszych, nie zechce mi się oświadczyć o rękę. Posagu mam całą plikę papieru—jestem charakteru bardzo łagodnego—chodzę w pantoflach od lat już dziesięciu i nieprzebraną mam chęć kochania. Niechże się z was która *omęży* ze mną, drogie panie. Najlepszym będę ojcem, przysięgam. Sam będę kołysał dzieci — sam je powijał — sam je karmił sam gotował w domu obiady — a ty żono moja przyszła, żono najdroższa, będziesz tylko łaskawa pójść codzień zato odsiedzieć dziewięć małych godzinek w biórze — odrobić tam kilka codzień referatów—nagiąć po kilka razy na godzinę krzyża przed zwierzchnikiem —przyjąć z milczeniem jedną i drugą burę— docinek jakiś na *bon môt* zakrawający—etc.... etc... jeszcze parę nieprzyjemnostek, które, że emancypantką będziesz znieść z rozsądkiem powinnaś.

Świetne czasy dalibóg nastają dla nas mężczyzn!

I tym wykrzyknikiem, wypisanym w pełnym zachwycie, kończę mój krótki jak na dziś felieton.

---

a drugi *przygotowywanie* czyli *robienie żelaza* oznacza.

Powtórzony w 909 roku napad Hunnów (Węgrów) na Turyngią, tudzież częste pożary, z których ostatni w 1062 r. zniszczył całe miasto do szczętu, — zniewoliły tych pracowitych *robotników żelaza*, do przeniesienia się zupełnie z tych miejsc gdzieindziej. I otóż jak gród starożytny, opiewany przez Pieśni Niebelungów, „sławny Isanach,“ stał się po wielu wiekach istnienia pustynią, oczekującą na nowych przybyszów i mieszkania nowe.

Jakoż stało się, że w kilka lat właśnie po tym pożarze, jeden z książąt niemieckich, *Ludwik Salicki*, syn mianowanego świeżo wówczas przez cesarza „grafem Turyngii,“ potomka królewsko-salickiego domu, *Ludwika Brodatego*,— zapuścił się rąz podczas polowania, aż na szczyt skalistej góry, która dziś ponad Eisenachem panuje. Spojrzawszy dookoła, i widząc, jak doskonałe warunki przedstawiała miejscowość do założenia na niej obszernego zamku,—miał zawołać: „Czekaj góro, musisz mi stać się fortecą!“ (Wart Berg: du musst mir eine Burg werden!). Te słowa wyrzeczone przypadkiem, były, jak się okazało, proroczemi, gdyż po upływie trzech lat zaledwie, na szczycie góry ukazał się cudowny zamek, z wysokiej baszty swojej zdający się mówić do przechodniów: „Podziwiajcie mnie! oto stoję jak moc prawdziwa; pocisków ani strzał się nie boję; z burz śmieję się także... i nie podołają mi wieki!“ Pierwsze zaś wyrazy, któremi książe w zapale przemówił do góry, imię nadały zamkowi temu.

Lecz przy stawianiu *Wartberga* czyli Wartburga nie obeszło się też i bez kłopotów. Sąsiedni dotychczasowi posiadacze gruntów tej miejscowości Turyngii, gdzie właśnie wznosiła się góra, panowie *von Frankenstein*, uważając i ją także za własność swoję, zapozwali Ludwika przed sąd krajowy o samowolne przyswojenie jej sobie — i Ludwik był zmuszony chwycić się podstępu, aby wyjść z tego sporu zwycięzko. W jedną noc ciemną, ludzie księcia, nabrawszy pełne kosze ziemi z niedalekich gruntów Schaaenburg'a, będącego już prawnem dziedzictwem tegoż pana po ojcu, rozsypali ją po szczycie góry i przysięgli potem, wraz z dwunastoma rycerzami, którzy przy tym akcie końce mieczów swoich utkwili nawet w skopaną ziemię, iż nowa budowla na „własnym gruncie“ księcia, się wznosi. Tym to sposobem graf Ludwik założył już w 1070 roku stolicę swoją na Wartbergu, dając początek nowej dynastyi *Grafów Turyngskich* czyli jeszcze inaczej *Eisenachskich*. Bo, jak niesie podanie, miasto w gruzach, u stóp zamkowej góry leżące, odrodziło się też, niby feniks z popiołów swoich, staraniem i zachodem tegoż samego księcia.

(*D. c. n.*)

Z NAUK PRZYRODNICZYCH.

Składniki ziemi.

Skały i Mieszaniny.

Skały krystaliczne.—Łupek iłowy i mikowy—Gnejs i Granit—Syjenit. Dyjoryt i Porfir.—Melafir i Bazalt.—Fonolit i Trachit—Lawa — Mieszaniny wyraźne.—Okruchowiec.—Zlepieniec.—Piaskowiec.—Rumowiska i Żwiry.—Piaski i Gruzy.—Mieszaniny niewyraźnie.—Margiel i Glina.—Ziemia Folarska.—Martwica—Ziemia Rodzajna.—Pierwiastki składników skorupy ziemskiej.—Rozmaite ich związki—Wszechświat złożony z jednakowych składników.—Ogół zjawisk popierających teoryę powolnych przekształceń.

W skałach krystalicznych znachodzimy rozmaite minerały, z których jedne stanowią składniki główne, inne zaś są podrzędnemi. Pierwsze istnieją zawsze w przeważającej ilości. Zdarza się też niekiedy, że składnik główny zastąpionym bywa innym jakim minerałem, od którego wtedy skała przyjmuje nazwisko. Ztąd też pochodzi ciekawy fakt przechodzenia jednej skały w drugą. Przeobrażenia takiego rodzaju zachodzą przecież bardzo powolnie i stopniowo. W tym razie przemiana odbywa się albo w całej masie skały, albo też częściowo, co oznacza, że proces przeobrażenia jeszcze się w zupełności nie ukończył. Skały tego rodzaju nazywamy w geognozyi *metamorficznemi*. Jak widzimy teorya transformizmu tu jak i w całej przyrodzie, znajduje wymowne świadectwa wykazujące jej doniosłą wartość.

Wszystkie łupki krystaliczne należą do skał przeobrażonych czyli metamorficznych. *Łupek iłowy* skada się z krzemionki, miki i talku, a niekiedy jeszcze z cząstek węgla, hornblendy lub chlorytu. Wygląd łupku iłowego bywa rozmaity odnośnie do barwy, która od szarej przechodzi w odcienia ciemno-zielonej, fioletowej, czerwono-brunatnej i czarnej. Z gatunków tego łupku wymieniamy *zwyczajny*, *szarogłazowy*, *szarogłaz* (Grauwacke), *łupek dachowy* używany do pokrywania dachów i na tabliczki do pisania, wreszcie łupek *pisarski*, *węglowy*, *palny* i t. d.

Łupek mikowy składa się z kwarcu i miki przechodzi też często w gnejs i w łupki iłowe, talkowe i chlorytowe.

Górale tatrzańscy nazywają gnejs *żabicą*, która jest mieszaniną kwarcu, miki i feldspatu. Gnejs jest złożenia łupkowatego, barwy szarej, białej, żółtawej, czerwonawej i innych kolorów—przechodzi też często w łupek mikowy i w granit.

Ten ostatni nazywanym bywa u nas *ziarnowcem* z powodu, że ma powierzchnię ziarnistą. Granit jest mieszanino feldspatu, kwarcu i miki, której blaszki nie przedstawiają w tym razie równoległego złożenia. Skała ta przechodzi w gnejs, syjenit i porfir.

Odmianami tej skały są *granit porfirowaty pisany*, *talkowy* (protogyn) i *granulit*. Granit używanym bywa do brukowania ulic i wysypywania dróg publicznych. Zwietrzały granit i w feldspat zasobny, daje grunt gliniasty wielce urodzajny.

Syjenit jest mieszaniną feldspatu i hornblendy, którym towarzyszy kwarc i mika. Z powodu barwy zielonawej przechodzącej w siną, odłamki jego nazwano u nas *sińcami*. Syjenit przeobraża się w granit, porfir i w skałę hornblendową. Z syjenitu czerwonawego wznoszono pomniki w starożytności a zwłaszcza w Egipcie.

Minerały feldspatowe, zawierające sodę, jakoto albit, oligoklas, labrador i skały hornblendowe, wreszcie augit, dyalag i hypersten, tworzą tak zwany *Dyoryt*. Doważniejszych gatunków dyorytu należą: *Łupek dyorytowy* złożony z hornblendy i albitu, którym też często towarzyszy piryt. *Afanit* przechodzący w porfir afanitowy. *Dyjabas* barwy przeważająco zielonej, będącej mieszaniną oligoklasu lub labradoru z augitem i chlorytem. *Gabro* (Eufotyd) złożony z labradoru i dyjalagu i zawierający serpentyn, tudzież żelazo tytanowe wreszcie *skała hyperstenowa*.

Porfir jest skałą zbitą, złożoną z felzytu w którym rozsiane są kryształki feldspatu, kwarcu, miki, lub hornblendy. Porfir tworzy rozmaite odmiany, jako to *porfir czerwony*, *mikowy*, *syjenitowy*, *retynitowy* i *glinowy*. Ten ostatni stanowi masę miękką, łatwo wietrzejącą, przechodzącą w glinę w której rozsiane są kryształki feldspatu.

Z porfirów użytkuje przeróżnie przemysł—służą one do brukowania ulic, do wysypywania dróg publicznych, tudzież wyrobu dzieł sztuki.

Melafir moglibyśmy nazwać *porfirem czarnym*—jest on mieszaną augitu i labradoru feldspatowego, zresztą trudno jest ściśle oznaczyć skład melafiru a to z tego względu, że ulega on prawie ciągle przemianom. Najważniejszemi gatunkami melafiru są: *zbity*, *porfirowaty* i *migdałowiec*, zawierający w sobie mnóstwo pęcherzyków wypełnionych kwarcem, zeolitem, szabazytem i innemi minerałami. Zwietrzałe melafiry wpływają wielce na użyźnienie gruntu.

Bazalt jest mieszaniną rozmaitych minerałów. W skład tej skały wchodzą augit, feldspat, labrador lub zeolit włóknisty, często oliwin i żelazo magnetyczne, nadające mu barwę czarną—wreszcie nefalin, mika i piryt żelazny.

W skale tej odróżniamy rozmaite odmiany jakoto: *Bazalt zwyczajny*, *doleryt*, *anamezyt* i *migdałowiec bazaltowy*. Bazalt przedstawia się w naturze w postaci wielkich słupów pięcio lub sześcio bocznych, pionowo lub skośnie występujących z ziemi. Daje on przedziwny materyał do budowy dróg, a zwietrzały służy do podwyższenia urodzajności ziemi.

Fonolit za uderzeniem młotka wydaje dźwięk ztąd też nazywanym bywa u nas *dźwiękowcem*. W skład tej skały wchodzą natrolit i felzyt, z dodatkiem zeolitu i przeróżnemi domieszkami przypadkowemi. Fonolit często przechodzi w trachit.

Ten ostatni jest skałą porowatą nieco ziarnistą, złożoną głównie z feldspatu szklistego tudzież z sanidynu i prawie zawsze porfirowatą. Najczęściej ma barwę szarą, żółtawą, czerwonawą lub zielonawą.—Trachit tworzy przeważnie masy wygasłych lub czynnych wólkanów, którym towarzyszą pumex, oksydyan, perłowiec i inne minerały.

Lawa jest niewyraźną mieszaniną augitu i felzitu albo lenecytu i żelaza magnetycznego, rzadziej miki i oliwianu. Wszelkie wylewy płynne z krateru wulkanów, przyjmują nazwę lawy.

Do mieszanin wyraźnych zaliczamy *okruchowiec*, będący mechanicznem połączeniem rozmaitego rodzaju okruchów skał, zlepionych inną masą kamienistą, która tu stanowi rodzaj cementu.

Okruchowiec stosownie do gatunku okruchów i cementu, otrzymuje nazwy *granitowego*, *porfirowego*, *wapiennego*, lub *kostnego*, to jest złożonego z różnych kawałków kości pancerzy i zębów różnych zwierząt. Kamyczki w okruchowcu są zwykle kontowate—okrągławe zaś znajdujemy w tak zwanym *zlepieńcu* czyli *konglomeracie* wytworzonym przez zwir, obrobionym i wygładzonym przez wodę. Odróżniamy zlepieńce gnejsowe, wapienne, bazaltowe, kwarcowe i t. p. Konglomerat z szarogłazu daje grunt gliniasty i sypki, złożony zaś z piaskowca pstrego z cementem piaszczystym lub gliniastym, daje grunt tegoż rodzaju co cement go zlepiający. Zlepieniec bazaltowy tworzy grunt zawsze urodzajny iłowy i gliniasty.

Piaskowiec jest powszechnie znanym, złożenie ma ziarniste barwy rozmaitej. W piaskowcu tworzącym piasek, ziarnka tegoż są krzemionką a cementem glina, wapno, margiel, ił, lub tlennik żelaza. Jeżeli w piaskowcach znajdują się większe ziarna, naówczas przechodzi on w zlepieniec lub w piaskowiec konglomeratowy. Gdy z ziarnami krzemionki łączy się chloryt (terra verde) piaskowiec przyjmuje nazwę *zielonego*.

Szarogłaz jest piaskowcem ziarnistym—piaskowce mikowe nazywamy *psammitami* i *mikopsammitami*.—*Arkozy* powstały ze zwietrzałych skał granitowych—przedstawiają się one w postaci kamieni gruboziarnistych zawierających feldspad. *Molassa* i *Macigno* składają

się z piaskowców krzemionkowych, w których cementem jest węglan wapna.

Piaskowców używamy do stawiania murów, na ozdoby architektoniczne, kamienie młyńskie i szlifierskie tudzież na chodniki i pokrycia dachowe. Ziemia w nie zasobna daje grunt najnieurodzajniejszy, zimny i suchy.

Rumowiskiem nazywamy zbiorowisko skał i kamieni bez cementu.—*Zwir* cementu pozbawiony zbliża się do zlepieńców.—*Piasek* składa się z ziarn krzemionki, które jeżeli nie posiadają pewnej ilości glinki i wapna, tworza tak zwane *wydmuchy* czyli *kurzawki*.— Wreszcie *gruzem* nazywamy większe ziarna krzemionki z kawałkami skał granitowych,— jakoto z ziarnkami feldspatu i miki.

Przechodzimy do mieszanin niewyraźnych. Węglan wapna w połączeniu z gliną tworzy tak zwany *margiel*, który ma najrozmaitsze barwy; z gatunków jego odróżniamy wapienny, gliniasty, krzemionkowy, piasczysty, miedziany i żywiczny. Margiel jest nieoszacowanym materyałem w użyznianiu gruntu, jeżeli zawiera w sobie węglan wapna w ilości od 15—60% tej soli.

Glina jest mieszaniną krzemianu glinki, tudzież wapna i glinki w nierównie mniejszej ilości. Domieszka tlenków metalicznych wpływa na ciemniejsze barwy gliny.—Do glin o barwach jasnych zaliczają się: glinka *porcelanowa*, *fajansowa*, *ogniotrwała*, *żółta*, *garncarska*, wreszcie muł i ił. Ten ostatni gatunek gliny, jest koloru sinego, i złożonym bywa z glinki i krzemionki pomieszanej z cząstkami żelaza i węgla, od których przyjmuje barwę. *Iły słone* zawierają w sobie wiele soli kuchennej.—Użytek gliny garncarskiej powszechnie jest znanym.

Z rozkładu dyjonitów powstaje masa miękka, w dotknięciu tłusta, zwana *ziemią solarską*; w fabrykach sukna używa się tej ziemi do odciągania wełnie tłuszczu ztąd nazywaną też bywa *ziemią sukienniczą*. Zawiera ona w sobie 10% glinki i 50—60% wapna.

Z mięszaniny glinki, wapna i piasku, powstają *tufy* czyli *martwice*, barwy szarej lub żółtawej. Tufy wytwarzają się bądź z popiołów wulkanicznych wodą rozrobionych a następnie osadzonych, i takiei nazywamy *wulkanicznemi*— bądź z osadzającego węglanu wapna rozpuszczonego w znacznej ilości w wodzie zawierającej kwas węglany. Tufy wulkaniczne włoskie zwane: *pausilipp* i *peperyn*, czyli *kamień pieprzowy* używane są jako materyał budowlany, jakkolwiek tenże jest bardzo nietrwały, z powodu prędkiego wietrzenia.

Wierzchnią powłokę kuli ziemskiej nazywamy *ziemią rodzajną*. Tworzy się ona ciągle w skutek obumierania roślin i zwierząt, wietrzenia i rozkruszania się skał, stanowiących jej składniki. Od stosunku owych rozłożonych cząstek mineralnych i organicznych, zależy barwa ziemi rodzajnej. Im więcej cząstek organicznych jest w gruncie, tem on staje się ciemniejszym i urodzajniejszym. Brak tych cząstek organicznych czyni ziemię jałową, przeciwnie czarnoziem tyle zasobny w próchnicę, to jest w materyę organiczną, jest gruntem najwięcej urodzajnym.

Wskazaliśmy główniejsze składniki ziemi, pozostaje nam jeszcze wymienić pierwiastki tych składników, czyli ciała pojedyńcze z których połączeń one powstały. Pierwiastki te rozdzielamy na *metalojdy* czyli ciała niemetaliczne, i na *metale*, które odpowiednio do właściwego im ciężaru gatunkowego dzielą się na metale *lekkie* i *ciężkie*.

Do metalojdów należą: tlen, wodór, azot, węgiel, siarka, chlor, brom, jod, bor, fosfor, fluor, krzem i arsen.

Do metalów lekkich zaliczamy: potas, sod, wapień, baryt, stront, glin i magnezyn.

Do metalów ciężkich: żelazo, ołów, srebro, złoto, platynę, cynę, cynk, mangan, chrom, kobalt, nikiel, bizmut, antymon, miedź i rtęć czyli dawniej tak zwany merkuryusz.

Pomijamy tu cały szereg rzadszych pierwiastków jak cer, cyrkon, didym, glucyn, iryd, kadm, litym, selen, tellur, tytan, uran, wolfram itd. itd.

Tlen z rozmaitemi ciałami tworzy liczne związki kwaśne lub zasadowe, jak *np:* z siarką kwas siarczany, z chlorem kwas chlorowy, z żelazem tlenek żelaza, z wapniem wapno, a te związki kwaśne czyli kwasy w połączeniu z zasadowemi czyli z zasadami, tworzą sole jakoto: siarczan baryty, fosforan wapna, azotan miedzi itp.

Tlen w połączeniu z wodorem tworzy wodę, a z mieszaniny mechanicznej tlenu i azotu powstało powietrze. Siarka z tlenem tworzy kwasy, równie jak brom, jod, fluor, fosfor, węgiel itd. Węgiel w połączeniu z azotem tworzy cyan wchodzący w związki z metalami. Z wodorem cyan tworzy kwas cyanowodorny, zwany *kwasem pruskim*, który jest jedną z najgwałtowniejszych trucizn. Siarka z metalami tworzy siarczyki, również jak chlor, bor, i inne halojdy. Tlen z potasem daje potaż, z sodem sodę. Azot w połączeniu z wodorem wydaje amonjak, gaz bezbarwny, silnej woni, rozpuszczalny w wodzie i tworzący z nią roztwór zwany *amonją gryzącą*. *Ałun* jest solą podwójną złożoną z siarczanu glinki i z siarczanu potażu.

Kreda jest węglanem wapna, a gips siarczanem wapna. Azotan srebra stanowi sól zwaną *kamieniem piekielnym* używanym do wypalania czyli tuszowania ran i zapaleń, obok tego przetwór ten daje tak zwany *atrament wieczny*. Związki podobne są bardzo liczne i rozmaite wymieniamy tu tylko niektóre, gdyż na szerszy ich opis nie pozwalają ramy niniejszego pobieżnego artykułu.

Z takich to składników powstała nasza ziemia, a liczne spostrzeżenia uczonych okazały, że są one zarazem składnikami innych planet krążących w przestworze. Cały wszechświat wytworzonym został z jednakowych składników gdyż wszędzie, na najodleglejszych gwiazdach, znajdujemy ich pierwiastki. W mgławicach nawet owych zawiązkach przyszłych planet, napotykamy też same ciała, z tą tylko różnicą, że tam przedstawiają się one w stanie gazowym. Teorya przekształceń, czyli przechodzenia jednych ciał w drugie, uwidocznia się nam w architektonice przyrody w tak wyraźnych zjawiskach, że dziwić się należy tym umysłom, które odrzucają jej zasadę na podstawie mrzonek nie mających nic wspólnego z wiedzą przyrodniczą. Na tej drodze badań drogowskazy błądzić nie mogą są one dla każdego jasne i czytelne, prowadzą nas do poznania praw natury, obalając sztuczne rusztowanie przesądów. Wiedza nie wiedzie do ateizmu, jak to jej dziś zarzucają, lecz jest przewodnikiem światła, wiodącym do prawdy objaśniającej zjawiska życia.

Wincenty Niewiadomski.

Obrzędy religijne dawnych Słowian,

przez

B. M. Poh......

Jak naród nie może się obejść bez pewnych wyobrażeń religijnych, tak też równie obejść się nie może bez pewnych religijnych obrzędów. *Urodzenie*, *związek małżeński* i *śmierć*, są to trzy ważne epoki w życiu człowieka, których bez uczuć naturalnych i obrzędów religijnych przebyć niemożemy. Uproszenie pomyślności, lub dziękczynienie za obfite Najwyższej Opatrzności dary, pobudza także do ustanowienia i obchodzenia z pewnemi obrzędami świąt i uroczystości.

Po przyjęciu wiary chrześcijańskiej, Słowianie zapomnieć musieli dawnych swych obrządków przy urodzeniach zachowywanych, ponieważ chrzest zastąpić one był powinien. Dlatego więc w zwyczaju zaledwo pozostały niejakie ślady takowych obrzędów, z których lubo nic pewnego dociec nie możemy, postrzegamy jednak, iż urodzenie z obrządkiem religijnym obchodzić musiano, o czem dawni pisarze zupełnie zamilczeli, a późniejsi nic dostatecznego w tej mierze powiedzieć nie mogą.

„Gdy niewiasta ma rodzić, (mówi Anton), tedy najstarsza kobieta, pospolicie babka, odbywa wszelkie przy niej posługi, i dlatego dotąd usługującą przy położnicy *babką* nazywają. U Dalmatów krewni posyłają położnicy jedzenie, które *babine* zowią. Dzieciom nadawano nazwiska, lecz niewiem w jakim czasie i z jakim obrządkiem; teraz zapewne nie mają dawnych nazwisk, ale same chrześcijańskie. Szlachta narodowa, nadawane swym dzieciom nazwiska, szczególniej lubiła kończyć następującemi wyrazami: *Mir*, *Gast*, *Sław* i t. p.—U pokoleń pod ogólnym nazwiskiem Słowian: *Merzamir*, *Akamir*, *Kelagast*, *Ardagast*. U Serwianów zaś: *Boisław*, *Radosław*, *Pribisław*, *Czesław*, *Mantimir*, *Stroiemir*. U Rosyan: *Swiatosław*, *Rostisław*. *Władymir* i t. d.—U Polaków: *Kazimir*, *Bolesław*, *Władysław*. U Czechów: *Bolesław*, *Brzetysław*, *Wencesław*, *Jaromir*. U Słowian Niemieckich: *Pribisław*, *Radegast* i t. d.

Chociaż nie znajdujemy w żadnej historyi wiadomości z jakim obrzędem dawni Słowianie przy urodzeniu nadawali imiona, zdaje się jednak, iż niepodobną jest rzeczą, aby to nadawanie imiom, nie było połączonem z jakowym obrzędem religijnym, oznaczającym przymierze ze czczonemi przez rodziców i krajowców bogami.

Wiemy z historyi polskiej, o uroczystych postrzyżynach króla Ziemiomysła syna Piasta, i króla Mieczysława syna Ziemomysła, które podług pogańskiego zwyczaju, w siódmym roku życia, przy obrzędach religijnych następowały. Postrzyganie włosów w tym czasie, musiało oznaczać ponowienie przymierza z bogami, ponieważ oddający się w opiekę, Perunowi, ostrzygali sobie włosy i u nóg jego posągu składali; również przy zawieraniu traktatów Słowianie podawali swym sprzymierzeńcom kłąb własnych włosów, jako godło przymierza. Dotąd w niektórych miejscowościach ostrzyganie włosów znaczy niewolę i upośledzenie. Co do postrzyżyn w siódmym roku życia uroczyście czynionych—zdaje się, iż obrządek ten wypływał zo względów zarówno fizycznych jak i moralnych. Sławni uczeni lekarze, jak np. Hufland i inni, ważne odkrywają przyczyny, dla których włosy dzieciom strzyżone być nie powinny. Mogło to być znane i Słowianom (?). W siódmym wieku zaczynają się rozwijać pojęcia umysłowe; zatem w tym czasie, po uroczystych postrzyżynach, po uroczystem przymierzu z bogami, zaczynano może uczyć prawideł religii pogańskiej.

Ponieważ z natury rzeczy związek małżeński więcej wymaga poprzednich przygotowań, dopóki strony interesowane nie zezwolą na trwałe nowożeńców połączenie się, i dopókąd nie wykonają święcie wzajemnej sobie przysięgi,—co wszystko według pewnych zwycza-

jów i obrzędów odbywać się zwykło,— przeto w czasie aktów weselnych, dotąd daleko więcej niż w czasie urodzin, zachowano starożytnych zwyczajów, obrzędy poganizmu cechujących. Obszerne w szczegółach opisywanie takowych, w licznych okolicach słowiańskich, nie jest naszym przedmiotem. Zastanowiemy się tylko, nad ogólnemi u wszystkich Słowian w czasie aktów weselnych zachowanemi obrzędami, które dawne ich przymioty i dawne obchody religijne znamionować mogą.

Powszechnie akt weselny, poprzedzać zwykły zmówiny i zaręczyny; dalej doprowadzenie nowożeńców do wzajemnej sobie przysięgi, czyli ślubu; potem następuje zakończenie tej uroczystości, stosowną zabawą i ucztą.

Dawni Słowianie cenili zwykle męstwo, odwagę, gościnność, skromność, słowem wszystkie cnoty domowe i towarzyskie, i wszystkie ich postępki do zachowywania cnót takowych dążyć nieprzestawały. Przymioty pomiędzy płcią męską a niewieścią, właściwie sobie podzielone być muszą. Mężczyznom przystoi męstwo, odwaga i śmiałość. Niewiastom, skromność, niewinność i wstydliwość. Z tego powodu powszechnie u wszystkich Słowian, nowożeniec z przybranemi przyjaciołmi i zbrojno, przybywał do rodziców lub opiekunów swojej narzeczonej, którzy przyjmowali lub odrzucali jego oświadczenie. To, gdy przyjętem zostało, składał pewne podarunki, oznaczające nabycie swej ulubionej, potem robiono umowę względem dnia i czasu, w którym połączenie ma nastąpić. Na ten wyznaczony czas, znowu przybywał nowożeniec konno i zbrojno, i w takowej zbrojnej postaci, po dokonaniu różnych ceremonii, w których, panna młoda zwyczajną swej płci skromność i nieśmiałość okazywać była powinna, stosownie do woli rodziców lub opiekunów i nowożeńca, niby porywaną została; nakoniec, gdy cały orszak wojenny, przyprowadzał nowożeńców do świątyni bogów, w obliczu których wykonywali wzajemną sobie przysięgę, powracali z orszakiem do domu rodziców lub krewnych panny młodej, i tam obchodzili dzień cały na ucztach i zabawach stosownych, które w dwóch następnych, jeżeli niewinność nowozamężnej dowiedzioną została, odbywały się z uszanowaniem dla domu i ze wszelką radością; w przeciwnym razie, rozchodzono się z uczty z okazywaniem wzgardy i nieuszanowania.

Takowe zwyczaje, pozostały dotąd niemal u wszystkich pokoleń Słowiańskich, z niejakiemi mniej więcej odmianami.

U Morlachów w Dalmacyi, gdy orszak zbrojny odprowadza do kościoła nowożeńców; wtedy, tak nazwany *Czajus* czyli herold uzbrojony, naprzód jadący wynawia nazwiska: *Brebery, Damory, Dobra Frikia, Jara, Piko*, które to nazwiska mogą oznaczać dawne, opiekuńcze związków małżeńskich bóstwa.

W Serbii, w Czechach i Wyższej Luzacyi, w czasie obchodów weselnych, zakazano używać broni, używają więc teraz kijów, któremi jadąc do kościoła, ścierają się i różne znaki swego męstwa i odwagi okazują. Zdarza się zaś niekiedy, iż miewają ukryte pistolety, i z nich czasem, mimo zakazu wystrzelą. U Serbów, w Wyższej Luzacyi, prowadząc nowożeńców do kościoła, dla okazania dawnego zwyczaju, jakoby panna młoda mimowolnie porwaną bydź miała śpiewają:

Wedzemy ju, wedzemy ju
Mamy ju, a mamy ju
A nikomu ju, hewek[1]) *njedami.*

[1]) *Hewek* znaczy: *w tył, nazad.*

W prowincyach Ruskich, w tymże samym czasie, śpiewają:

Da ne sama idu, da wedut menę, etc.

Wspomnieć tu należy o znanym zwyczaju robienia w czasie aktów weselnych *Korowaju*, który odległej sięgać musi starożytności i który dotąd u wielu pokoleń słowiańskich w różny sposób uczty weselne ozdabia. Zwyczaj tak robienia, jako też używania korowaju, z pewnemi wyobrażeniami symbolicznemi, w różnych okolicach mniej więcej 'jest różny; w ogólności jednak zdaje się mieć jednakową myśl symboliczną.

Korowaj jest chleb, nakształt kołacza z różnemi przyprawami upieczony, *ozdobiony wielu szyszkami, których im więcej, tem jest piękniejszy*, U Kozaków i innych zamożnych ludzi, te szyszki bywają wyzłacane. Sam korowaj ozdobiony jest małemi chorągiewkami, rószczkami jodłowemi i innemi ozdobami. Powinien być tak wielki, ażeby dla zaproszonych na akt weselny gości, mógł wystarczyć. Gdy nie wystarczy jednego, to więcej przygotowanych być zwykło. Korowaj powszechnie stawia się na wielkim stole, u którego zasiadają zaproszeni i służy za ozdobę. Po spożyciu potraw najstarszy z bojarów, lub ten komu poruczono, łamie korowaj, i podług porządku starszeństwa, rozdaje go po kawałku, w którym zatknięta jest chorągiewka lub rószczka jodłowa. Przyjmujący takowy kawałek, według swej możności i chęci, kładzie na półmisek srebrne pieniądze, lub oświadcza, czem na nowe gospodarstwo nowożeńców ma chęć obdarzyć. Nowożeńcy kawałek korowaju z powyższą ozdobą przywożą do krewnych i powinowatych, którzy na akcie weselnym bydź niemogli. Podróż tę odbywają z muzyką i śpiewem. Korowaj wedle dawnego zwyczaju, należy mieć w zasobie przez cały tydzień, aby przyjeżdżających z powinszowaniem do nowożeńców było czem ugościć. Tak w pierwszych jako i w następnych dniach, przy podawaniu kawałka korowaja, podaje się kielich z napojem dla spełnienia go za zdrowie nowożeńców, przy życzeniu im długiego i szczęśliwego życia.

Historycy Niemieccy, przez domysł, więcej na dawnych obyczajach ugruntowany, niżeli na współczesnych pisarzach, pogrzebowe Słowian obchody w następujący opisuje sposób: Starszy, czyli naczelnik osady, uwiadamiał miejscowych mieszkańców o śmierci współmieszkańca, za pomocą czarnego znaku w kształcie buławy od domu do domu przesyłanego; po czem zgromadzili się mieszkańcy i wszyscy razem wyprowadzali umarłego ze smutnem opłakiwaniem. Niektóre kobiety ubrane w białe odzienie, roniły łzy w małe naczynia płaczebne. Na kładowisku rozpalali stos, i palili umarłego wraz z koniem i orężem. Zbierali popioły w urny gliniane, miedziane lub szklanne, gdzie także kładziono naczynia płaczebne i inne rzeczy do zmarłego należące, jakoto: małych bożków, różne monety itd., co wszystko razem w ziemi zagrzebywano. Niekiedy wystawiali pomniki, okładali mogiły dzikiemi kamieniami, lub ogradzali one palisadą. Te smutne obrzędki kończyły się wesołą uroczystością, którą nazywano *Strawą*.

Słowianie Ruscy— Krywicze, Siewieranie, Wiatycze, Radymicze—czynili przy pogrzebach obchód zwany *Tryzną*, który wyobrażał różne gry wojskowe; przez okazywanie sił i zręczności: gry te połączone były z ucztą. Ciało zmarłego palono na wielkim stosie i zebrane do urny popioły, w bliskości dróg na słupie stawiali. Takowe obchody pogrzebowe zachowywane były przez Wiatyczów i Krywiczów do czasu Nestora: okazują one ducha wojennego. Bezdroża dlatego otoczano urnami, ażeby za każdym rzutem oka na te smutne pamiątki, wzbudzane były myśl i uczucie znikomości człowieka! Słowianie zaś Kijowscy i Wołyńcy, oddawna mieli zwyczaj pogrzebywania ciał umarłych w ziemi. Niektórzy razem z trupami chowali drabinki z rzemienia plecione i na mogile pogrzebionego zabijali jego ulubionego konia. Krewni zaś na znak smutku i żałoby, w czasie tego obchodu przy płaczach i łkaniach ranili swe twarze.

(*Dokończenie nastąpi.*)

OBRAZKI
wychowania domowego.

(podług notatek Anny z Potockich Nakwaskiej)

zebrane przez **Z. W.**

I.

Mam wiele do zarzucenia, powszechnie przyjętemu sposobowi wychowywania dzieci. Poradzić jeznak złemu bardzo trudno; to co mnie się nie podoba, może właśnie trafić doprzekonania drugim; mój pogląd na rzeczy trafny pod pewnym względem, u drugich może być zupełnie innym; jakże więc postępować? Moja córka zaczyna dorastać do wieku, gdzie umysł żywy i poniekąd rozwinięty, należy skierować na tę lub ową drogę, ale cóż jeżeli właśnie ta droga, którą teraz uznaję za dobrą, okaże się fałszywą w swych skutkach? Jak się z niej cofnąć? Jak zaradzić złemu? Czytałam dużo książek traktujących o tak ważnym dla młodych matek przedmiocie, rozmawiałam i zasięgałam rady ludzi kompetentnych i niekompetentnych, jednem słowem, uczyłam się i pracowałam bezustannie.

Lecz niestety, moje zabiegi i usiłowania mało przyniosły mi owoców. A jednak czas drogi ucieka; dziewczynka moja biegając tu i owdzie, rozdzierając i niszcząc wszystko co wezmie w rączki, płacząc i krzycząc kiedy jej niańka wychodzi z pokoju, pomimowolnie nasuwa mi myśl, że umysł rozwijający się, potrzebuje pewnego kierunku, i że zapóźno uczyć się i przygotowywać wtedy, kiedy nadeszła chwila działania. Umyśliłam zatem przyjrzeć się jak inni rodzice wychowują swe dzieci, zasięgnąć rady, najdoświadczeńszych matek, jednem słowem przekonać się, jakie idee mają pierwszeństwo w ogóle i jakim sposobem ludzie zamieniając teorye w praktykę, najłatwiej trafiają do celu.

Otóż pewnego pięknego poranku, puściłam się w podróż, i oto najpierw pojechałam do pani K—ej, znanej i uwielbianej powszechnie w towarzystwie ze swego rozumu, miłego i uprzejmego obejścia się, świetnego ukształcenia. Pani ta jest matką ślicznej jedenastoletniej córeczki, którą nad życie kocha. Sądziłam więc, że tego rodzaju osoba, zajmująca się sama wykształceniem swego ukochanego dziecięcia wskaże mi pewną drogę, po której postępować bym mogła.

Godzina pierwsza po południu. Dzwonię. Lokaj wysokiego wzrostu, w nowej galonowej liberyi otwiera mi drzwi, oświadczając uroczyście, że pani jeszcze nie przyjmuje. Zażądałam widzieć się z małą Adelą.

Podnosi się portyera, prowadząca do wewnętrznych pokoi, i wychodzi szczupła, zgrabna dziewczynka, nawet zanadto na swój wiek wysmukła.

Na niej śliczny ubior, z niebieskiej materyi przystrojony falbankami, i białą koronką.

Uczesanie głowy, podług ostatniego dziennika mód, ułożenie prawdziwie salonowe, jednem słowem miniaturowa panna na wydaniu.

Ukłoniła mi się, i dygnęła.

— Przepraszam panią — rzekła, *Maman n'est pas encore visible*, była wczoraj na balu u pp. B. u nich był *bal costumé* — ale zaraz przyjdzie *tante Mery*—proszę pani dalej,—tu będzie wygodniej! — dodała podsuwając mi zgrabnie fotel. Nie wiedziałam jak zacząć rozmowę z tą małą panienką. Jej sposób wyrażania się i jak Francuzi nazywają *aplomb* zmieszał mnie.

— Jak się mają córki pani Z.? one są tak ładne, szczególniej Mania; a ponieważ w nieobecności rodziców zostają u pani, pozwoliłam sobie to pytanie zadać. Jaka szkoda, że rzadko kiedy się z niemi widuję — i to tylko u pani Kryckiej.

— Owszem, one bywają w domach gdzie są dzieci....

— Dziwna rzecz, że się z niemi nie spotykam. Jeszcze wczoraj mama mówiła że Mania *sera un charme*, jak dorośnie lat 16-tu. Ale otóż i *tante Mery*!

Weszła otyła panna lat 35, sentymentalna, i bardzo nerwowa. Ona również jak Adda, oświadczyła mi, że siostra *n'est pas visible*, ale zaraz przyjdzie, że wczoraj późno powróciła z balu, że bal był świetny, toalety prześliczne. Oczy Addy zabłysły na wspomnienie toalet, twarzyczka jej ożywiła się — słuchała z natężoną uwagą.

Zadzwoniono — i wszedł młody człowiek, modnie i elegancko ubrany, Adda zaledwie kiwnęła mu głową; podała dwa paluszki i giestem pokazała mu miejsce obok siebie na kozetce. Młody elegant nie zwrócił najmniejszej uwagi na mnie, i *tante Mery*.

Rozparłszy się na kanapie obok Addy, rozpoczął z nią pół żartobliwie, w pół seryo rozmowę. Znowu posłyszałam, *Maman n'est pas visible*, ale zaraz przyjdzie i t. d.

Patrzyłam na tę panienkę, ze zdziwieniem, nie wiedząc co o niej myśleć.

Ciocia Mery szepnęła mi do ucha:

— Widzę że się pani dziwi mojej siostrzenicy; *vrai elle est charmante*, nieprawdaż? Wszyscy mówią o niej: *une petite femme tout à fait accomplie* — żadnej swawoli, żadnego dzieciństwa. Posłuszna i rozsądna, a do tego tak do matki przywiązana; *vous savez*—siostra i ja, nie możemy znieść najmniejszego hałasu; bieganie, i krzyk dzieci, przyprawiły by nas o chorobę, Adda się zgodziła z tą koniecznością, spokojnie siedzi w salonie, kiedy przyjmujemy gości, rozmawia dowcipnie, i bez przeszkody, jednem słowem, stanowi naszą radość i pociechę.

— *Vrai?* Pan przywiozłeś mamie bilet do loży pierwszego piętra, Nr 6 na dzisiejszy benefis pierwszego tenora. Mama zachwycona grą i śpiewem tego artysty.

— *Vous êtez donc tout à fai charmant* doleciało do uszu moich; Adda oparta o poręcz kozetki, z uśmiechem zwracając się do swego kawalera, dziękowała mu w imieniu matki za bilet na operę włoską.

— Matka pani zachwycona dzisiejszym benefisantem, a można zapytać kim panna Adda zachwycona?

— Ja? Nikim.

— Trudno temu uwierzyć?

— Doprawdy, i Adda uśmiechnęła się figlarnie.

— Pozwoli pani o tem powątpiewać; *Soyons amis, prenez moi pour confident.*

— Zaręczam że prawdę mówię. Niech się pan cioci zapyta?

— Alboż to pani będzie się z tem cioci zwierzać?

— Tem bardziej panu! *Et puis une demoiselle bien elevée n'a pas de secrets!* zakończyła panienka poważnie, uśmiech zalotny, jednak nie schodził z jej różowych usteczek.

— Brawo, Adda! Dobra twoja uwaga! pochwaliła ciocia Mery.

Teraz śmiało powiedzieć można, że wcale nie ma dzieci, ciągnęła stara panna, zwracając się do mnie. Wszystkie są tak rozumne, i tak umieją się znaleść w towarzystwie. Siostra, może się nazwać szczęśliwą matką. Jej dziewczynka *charmante. Et puis si espiègle.* Taka dowcipna! Wczoraj przyszło jej do głowy, przymierzać wszystkie ubrania matki. Zrobiłam jej lekką wymówkę: *Vous savez*, znajduję, że nie dobrze jest kiedy dziewczynka, tak wcześnie zaczyna przeglądać się w zwierciadle. I cóż pani myśli, jaka była odpowiedź Addy?

Chère tante, je prends l'exemple de ma mère! Wszystko co ona robi jest dobrem! Śmiałyśmy się długo, z tak trafnej odpowiedzi. A czy wie pani? Mojem zdaniem, siostra wychowując Addę, zrobiła małą pomyłkę. Wychowanie jej jest trochę zanadto prozaiczne. Adda pojmuje i zna życie tak dobrze jak i my. Dla niej nic nowego być nie może. Pochodzi to stąd, że dziewczynka jest ciągle z matką, ciągle w towarzystwie dorosłych osób. Poniekąd ma to swą dobrą stronę. Nikt jej nie oszuka, — tu ciocia Mery westchnęła — nie tak to było w naszych czasach, nieświadomość życia i wszelkich jego niebezpieczeństw, jeżeli czasem spowodowała parę omyłek, chociażby nawet pewnego rodzaju, *faux pas*, zawsze jednak otaczała aureolę niewinności i nieświadomości. Naprzykład jej ubranie jest tak wykwintne, że nie różni się bynajmniej od toalety panny którą wywożą w świat. Powiedz mi pani, co ona wtedy nosić będzie? My naprzykład w jej wieku, nosiłyśmy tylko sukienki perkalikowe, i wełnianne okrycia, dlatego też, co to była za radość, kiedyśmy doszedłszy do lat 16-tu po raz pierwszy, suknie jedwabne włożyły. Adda nie będzie miała tej przyjemności; ona od lat 6-ciu nosi jedwab, atłas i aksamit. Opowiem pani teraz, scenę której byłam świadkiem wczoraj.

Adda brała lekcyę muzyki. Pani Richter, nauczycielka grała z nią na cztery ręce potpourri z Fausta, jeżeli się nie mylę. Siedziałam właśnie w tym pokoju, portyery były spuszczone: zawsze to się robi, żeby jej nic uwagi od fortepianu nie odrywało. Wtem słyszę, że Adda niemiłosiernie fałszuje, dolatują do uszu moich urywki rozmowy i o czem, niech pani zgadnie? Oto pani Richter zasięga rady swej uczennicy, jak ma uszyć swoją nową suknię, a Adda, najzupełniej seryo, tonem mentora, przekonanego o swej głębokiej nauce, i doświadczeniu, opowiada jej, że tiuniki wychodzą z mody, a miejsce ich zastąpią, *jupes relevées* z tyłu, tłómacząc jej jak podnosić należy fałdy, jednem słowem nie pani Richter dawała lekcyę muzyki, ale Adda ją wtajemniczała we wszystkie drobnostki toaletowe. Zawołałam siostry i obie naśmiałyśmy się do woli. Naturalnie, taka przykładna matka, nie zgodziła się na taką stratę czasu; po ukończeniu lekcyi, zrobiła uwagę nauczycielce że przy fortepianie, należy myśleć o nutach i klawiszach, nie zaś o nowym kroju sukien, i że jej obowiązkiem jest uważać na to, żeby Adda nie grała fałszywie i nabyła dobrej *doigtée*... Pani wie, u niej straszliwa *doigtée*...

Nie chciałam słuchać dłużej, i nie doczekawszy się nawet przyjścia matki tej *petite femme tout à fait accomplie* pojechałam dalej. Wychodząc z salonu posłyszałam urywek rozmowy Addy z towarzyszącym jej kawalerem.

— Wczoraj był u nas pan Janusz — jest w siódmem niebie, taki szczęśliwy — panu wiadomo że jego gniadosz zdobył pierwszą nagrodę.

D. c. n.

ROZMAITOŚCI.

Luźne notatki z podróży odbywanych po kraju

przez

J. L. Kaczkowskiego.

— Z powodu trzęsienia ziemi, jakie miało mieć miejsce w Dołhobyczowie, w powiecie hrubieszowskim w dniu 17 Sierpnia r. b. o godzinie piątej wieczorem, trwało przez półtorej minuty, lecz było tak nadzwyczaj silne, iż dwa włościańskie domy w połowie runęły, a folwarczna oficyna w kilku miejscach porysowała się—notujemy wtem miejscu iż podobne zjawiska wydarzały się niejednokrotnie w kraju naszym. Wedle bowiem dawnych kronik i różnych pamiętników historycznysh, w prowincyach stanowiących dawną niegdyś Rzeczypospolitą polską miały miejsce podobne zjawiska w latach 1000, 1034, 1044, dnia 5 maja 1200, 1258,—dnia 8 sierpnia 1303, 1442—dnia 5 czerwca 1443, podczas którego w Krakowie w kościele Ś-tej Katarzyny sklepienie spadło; dnia 25 września 1517, w styczniu 1620, 1695 w sierpniu, 1785 dnia 22 sierpnia, dnia 22 września tegoż roku, 26 lutego i 3 grudnia 1786 r. w Krakowie i Wieliczce, 6 kwietnia 1790 r. w Galicyi, dnia 26 października 1802 r. we Lwowie i Warszawie, 8 stycznia 1803 r. w Białmstoku, 28 kwietnia 1829 w Kaliszu.

Jakie mianowicie okolice i miejscowości uległy temu zjawisku, powyższe dokumenta bliżej nie określają. Nie ulega jednakże wątpliwości, że sąsiednie okolice Białego-Stoku, Krakowa i Galicyi Austryackiej nie były wolne od trzęsienia ziemi, jak tego mieliśmy dowód w roku 1780 dnia 3 grudnia o godzinie 4 minut 56 po południu, kiedy podczas trzęsienia ziemi w Szląsku, Węgrzech, Galicyi i Krakowie w guberni Kieleckiej powiecie miechowskim we wsi Żembocinie wieża kościoła uległa znacznemu uszkodzeniu. Trzęsienia ziemi wedle spostrzeżeń profesora Perrier w Dijon nie są bynajmniej żadnem nad naturalnem zjawiskiem w naszym kraju, jako położonym na przedłużeniu wschodnio-europejskiej płaszczyzny otoczonej w części przez morza. Wedle bowiem hipotezy profesora Perrier w czasie przypływu i odpływu morza księżyc i słońce wywierają odmienny ruch przyciągający na płynną rozpaloną masę jądra ziemskiego i owa płynna masa pod wpływem takiego przyciągania, działa w takimże stosunku opóźniającym jako i przyspieszającym morskie przypływy. Ową właśnie podziemną falą wyjaśnia Perrier trzęsienia ziemi. Podług niego, wzdymająca się masa naciska ze strony wewnętrznej na pozostałą powłokę ziemi i tam gdzie ta powłoka jest dość sprężystą, pod ciśnieniami i uderzeniami fali wywiązują się lekkie wstrząśnienia, gdzie zaś skorupa ziemi nie jest sprężystą i nieustępuje naiskającej sile, tam nadtrzaskiwa się na wewnętrznej powierzchni, albo też tworzy w całej grubości trzaśnięcia. W takich wypadkach wstrząśnienia bywają dotkliwsze i trzęsienia ziemi silniejsze. Jeżeli powyższa teorya jest gruntowną, trzęsienia ziemi powinnyby następować najczęściej przy wspólnym stanowisku księżyca i słońca i powinny być silniejsze w czasie pełni i nowiu, aniżeli w pierwszej i ostatniej kwadrze tej ziemicy (planety, satelity). Trzęśienie ziemi w Dołhobyczowie miało właśnie miejsce podczas pełni księżyca.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57. Дозволено Цензурою, Варшава 28 Августа 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 48).

— Zresztą, panie, powiedział jeden, chudy, wysoki mężczyzna w mundurze i z piórem za uchem, bardzo wam Anglikom jest wygodnie mówić o nie interwencyi, ale nie długo będziecie się jej mogli trzymać. Macie od czterech do pięciu milionów ludzi zależących od nas dla chleba powszedniego, i będziecie w krótce musieli wybierać pomiędzy rewolucyą a bawełną. Rachuję na to, że nie będziecie chcieli rewolucyi i przed końcem roku, ujrzymy wasze wojenne okręty pod Charleston i Yankesy będą w kłopocie.

Drugi mówił:

— Nie, panie, wasz rząd nas uzna i wszystkie te paki bawełny będą w Liwerpool przed jesienią. Będziecie naszymi sprzymierzeńcami wtedy, jeżeli do tego czasu bez waszej pomocy nie poradzimy sobie z Yankesami.

Na te słowa, De Benham odpowiadał tylko poważnem zaprzeczeniem lub grzecznem milczeniem, ale wszelkie zaprzeczenia były daremne. Nie mogli i nie chcieli uwierzyć żeby polityka Wielkiej Brytanii była stałą i uzasadnioną i nie podlegała zmianie ciśnienia niezadowolenia i nędzy wewnętrznej. Ich wesołe nierozważne, junackie zaufanie we własnych siłach z drugiej strony, uderzało jego, obcego, jako najsmutniejsza cecha tej nieszczęsnej walki. Widział od początku, że była to sprawa zgubiona, i że te gorące nadzieje i odwaźne zapędy musiały się zakończyć upadkiem, śmiercią i gorszem od nich upokorzeniem.

Nie do składu kupca, ale do kantoru faktora udał się jednak De Benham, bo w Ameryce jak w Liwerpool, bawełna jest sprzedawaną i kupowaną za pośrednictwem osób trzecich, których cała klasa tym sposobem się utrzymuje.

Kantory te ciemne, odległe, przesiąkłe tytuniem, kryły się w posępnych miejscach na ulicy Charleston, gdzie wszystkie się prawie mieściły. Cisza głęboka zaległa te budynki tak niedawno ożywione ruchem interesów; pustki i milczenie zastąpiły po korytarzach i schodach gwar kupców i ajentów krzątających się i śpieszących.

Pan Hardwicke polecił nadzorcy ładunku swego okrętu, udać się do faktora z którym nieraz miał już stosunki, to jest do domu panów Harper, Prideaux i Barbukle, i do ich kantoru De Benham podążył. Znalazł go po niejakiem szukaniu, na pierwszem piętrze ogromnej ponurej kamienicy, mieszczącej na każdem piętrze po tuzinie podobnych kantorów. Zupełnie inny był on od ciasnych gabinetów, do których był przyzwyczajony, w Londynie; był to wielki pusty pokój, podobny do sali pasażerskiej drugiej klasy, na wielkiej stacyi kolej żelaznej; na jednym i na drugim końcu za żelazną balustradą, stały biórka i wysokie stołki dla faktora i jego pomocników; zresztą, prócz twardych, niewygodnych stołków, i wielkiego pieca żelaznego na środku, nie było śladu umeblowania, ani dywanu na podłodze nasuwającej niemiłą myśl o potrzebie spluwaczek. Okna były zabrudzone, a na ścianach wisiały drukowane oznajmienia o ajencyach emigracyjnych, wyjeżdżających okrętach lub statkach parowych, parowych pługach, młockarniach, i innych rolniczych narzędziach.

Ośmnastoletni, żółtowłosy młodzieniec, którego De Benham zastał oddającego się z wielką energją ćwiczeniom z pałaszem, sam jeden zajmował tę przyjemną komnatę. Zatrzymał się trochę zawstydzony na widok nieznajomego, tłómaczył się z tak wojowniczego zajęcia, mówiąc że niedawno wstąpił do sławnego oddziału zwanego *Niezwyciężonymi synami południowej Karoliny*.

De Benham oznajmiwszy że interes jaki miał do pp. Harper, Prideau i Barbuckle był czysto handlowy a nie wojskowy, niezwyciężony zawiesił swój pałasz na kołku za drzwiami, porwał za kapelusz i mówiąc że pewno zastanie majora na mustrze, zniknął w jednej chwili.

Niedługo nadszedł major, tłusty, blady, z wyrazem bezrozumnym na twarzy, ściśnięty w swoim mundurze i nie wiedząc jak chodzić z pałaszem. Był to ten ze trzech wspólników który nosił nazwisko Prideaux. Zaczął od tego, że rozpiął ile tylko mógł guzików i sprzączek, wołając z całej siły na starego murzyna z białą głową żeby mu przyniósł *Boker's Bitters*, cudowną mięszaninę, używającą wielkiego powodzenia pomiędzy mieszkańcami Charleston.

De Benham chciał się wymówić od kosztowania tego trunku, w tak rannej godzinie, bo zegar wskazywał dopiero dziewiątą przed południem, ale major niechciał o tem słyszeć.

— Panie, rzekł ten rycerz handlarz, są dwie rzeczy, któremi nie można się zajmować w naszym klimacie bez pomocy orzeźwiających napojów, to jest handel i wojna. Jeżeli mamy interesa z sobą robić, musimy także razem pić, a bawełna dużo w siebie wsiąka.

— Zdaje się, że panowie niemacie wiele do czynienia, powiedział De Benham.

— Nie panie. Jakże możemy mieć wiele zajęcia, kiedy nasze porty są zamknięte, nasi młodzi ludzie w wojsku, i musiemy się jeszcze rozprawiać z temi przeklętemi Yankesami. Ale zresztą, panie, nie wiele teraz dbamy o interesa. Jesteśmy ludem handlowym, to prawda, ale jesteśmy także ludem wojskowym i miłującym ojczyznę, i pałamy teraz żądzą walki. Dusze nasze żyją tylko nadzieją wojny, a szable nasze pragną krwi nieprzyjaciela. Jaki gatunek bawełny życzysz sobie pan kupić?

Tak zmieniając ton heroiczny na inny, stosowniejszy do życia powszedniego, waleczny major wlazł na bardzo wysoki stołek o cienkich nóżkach, i wyjął z szufiady swego biórka różne próbki surowej bawełny, rozprawiając z wielką żywością o jakości włókna, długości nitki, zalecając jeden gatunek dla pewnych zalet, drugi dla innych i mówiąc z największym zapałem o trzecim.

Chociaż pałał żądzą wojny i pragnął krwi nieprzyjaciela, major okazał się bardzo przebiegłym w interesach, przytaczając najwyższe ceny jakie były na targu, jeżeli można było powiedzieć że targ jakikolwiek istniał, a nawet dodając jeszcze cokolwiek do tych wysokich cen. Ale De Benham nie na próżno bawił już trzy dni w Charleston, i o tych wszystkich szczegółach się dowiedział. Wiedział równie dobrze jak major Prideaux, jak nisko stały teraz ceny bawełny, i jak ważnym był w tej chwili dla każdego domu w mieście, obstalunek jaki miał uczynić.

— Wolę ci od razu powiedzieć, majorze Prideaux, rzekł nareszcie, że przybyłem tutaj żeby zakupić najlepszy towar jaki można znaleść w Charleston, po najniższej cenie za jaką można go dostać, i mam zamiar trzymać się tych warunków.

— A ja ofiaruję się panu go dostawić po siedm centów i pół, to jest po najniższej cenie o jakiej słyszano tego lata na giełdzie w Charleston.

— To było miesiąc temu, majorze, rzekł De Benham.

— Panie, powiedział major z godnością, nie mówię żeby się ceny od tego czasu podniosły, ale powiadam, że nigdy nie słyszano żeby o centa mniej płacono.

— Musi to być dlatego że od tego czasu interesów nie robiono, powiedział De Benham. Trudno mówić żeby ceny spadły, kiedy nikt nie kupuje ani sprzedaje, ale w takim razie to, co było najwięcej poszukiwanem, traci wszelką wartość.

— Panie, rzekł major, dom Harper, Prideaux i Barbuckle....

— Przepraszam, przerwał De Benham, wstając i chcąc wychodzić, mam zamiar dać po pięć centów za funt bawełny i wziąść jej dwa tysiące pak. Jeżeli możesz pan podjąć się tego interesu po tej cenie, przyjemnie mi będzie ci go powierzyć; jeżeli nie, mam honor pożegnać pana.

Major umaczał pióro w atramencie jak gdyby nie było mowy o targowaniu się i zapisując na podłużnym papierze wykaz interesu rzekł:

— Podług próbki numer czwarty, zapewne?

— Podług próbki numer czwarty, powtórzył De Benham.

Zamienili jeszcze kilka słów co do wydania i zapakowania towaru i interes został ukończony.

— Można panu powinszować; masz już zęby mądrości, powiedział major ze spojrzeniem pełnem uwielbienia, kiedy się żegnali; zrobiłeś ten interes po najniższej cenie o jakiej kiedy słyszano, ale nie tak łatwoby ci było poszło, gdyby się inny jaki kupiec tu ukazał.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Lord Stockbridge.

Obiad wydany na cześć Lorda Stockbridge w Strathellan House, niema bezpośredniego związku z naszem opowiadaniem. Hardwickowie byli już znani ze wspaniałości z jaką przyjmowali gości, i tą razą, z niemniejszą wspaniałością i wystawą sreber i kryształów i bogatych liberyi ich podjęli. Jak wiemy, pomiędzy gośćmi znajdowało się parę tytułowanych i konieczny biskup, bez którego żadna uczta nie może się zupełnie udać teraz.

Obiad ten był jednak ważnym w swych skutkach, bo zrobił z Lorda Stockbridge częstego gościa w domu państwa Hardwicke. Lord Stockbridge był tem wszystkiem co mówiła panna Hardwicke, a może czemś więcej. Żył przemysłem od młodości, a przez ostatnie piętnaście lat, dodawał do tego niepewnego kapitału nadzieje, jakie miał w odziedziczeniu majątku i tytułu bezdzietnego dalekiego krewnego. Miał długi, i te długi nie były z tych do jakich najłatwiej się przyznać. Znano go dobrze w Hamburgu, Baden Baden, Spa, Wiesbaden, Ems, Monako; nie mniej był sławnym na wszystkich polach wyścigowych, w kraju czy zagranicą. Znajomi jego, szczególnie ci których miał w tym lądzie, więcej grzechów na jego karb kładli, niż byliby może mogli dowieść; jednak parę niemiłych anegdotek krążyło o nim, i Lord Stockbridge byłby dobrze zrobił uciszając je, gdyby to było w jego możności, a że tego nie czynił, obmówcy brali to za dowód prawdy swoich twierdzeń.

Panna Hardwicke jednak o tem wszystkiem nic nie wiedziała. Słyszała tylko że był rozrzutnym, że większą część życia przepędził za granicą, i że mówiono o złym stanie jego interesów. Rzeczywiście interesa Lorda Stockbridge były w najopłakańszym stanie. Grzązł po uszy w długach, i z siedmiu tysięcy funtów dochodu, zaledwie taką liczbę setek pobierał na swe utrzymanie.

Zwykły środek ratunku utracyusza stał jednak otworem przed nim, i gotów był też, jeżeliby tylko mógł, dźwignąć się z upadku za pomocą bogatego ożenienia.

Stało się więc, że Lord Stockbridge był, jak sam się wytwornie wyrażał w rozmowie, z poufnemi swemi przyjaciołmi, wystawiony na sprzedaż, i przepych z jakim go przyjęto w Strathellan House wrażenie na nim uczynił. Będąc wystawionym na sprzedaż, myślał że tam będzie mógł wysoką na siebie cenę nałożyć. Żeby jednak nie popełnić w tym względzie żadnej pomyłki, skierował jednego poranku swe kroki ku Doctor's Comnous, i tam zabawiał się przez parę godzin przeglądaniem testamentów pana Hardwicke ojca, i brata jego Aldermana, przez jakiś czas lorda majora londyńskiego, i wielką radością napełniło go to czytanie. Kiedy się dowiedział, że oprócz zapisów uczynionych w tych dwóch dokumentach na korzyść panny Hardwicke, odziedziczyła także trzeci majątek po matce, szlachetny ten lord wezwał opieki bogów i postanowił że wielki ten los w loteryi życia dostanie się jemu, jeżeli tylko zręczność i wytrwałość, słowa podchlebne, resztki dawnych wdzięków i korona herbowa, będą mogły w tem przedsięwzięciu mu dopomódz.

Był on w samej rzeczy, w swoim czasie bardzo pięknym i jeszcze był przystojnym. Miał lat pięćdziesiąt i jeden, i chociaż znać było na nim zmęczenie i ślady życia oddanego uciechom, świat jednakowo znajdował że młodo wyglądał. Rysy trochę nabrzmiałe, ociężałość ogólna, oczy często krwią zaszłe i drżenie ręki, szczególniej z rana, były oznakami dość wyraźnemi dla tych, którzy umieli się na nich poznać. Ale świat nigdy go nie widział przed 2-gą popołudniu, a Lord Stockbridge ziewający nad swojem śniadaniem o dwunastej, w szlafroku i pantoflach, sam jeden, zmęczony, znudzony, walczący z ostatkami bólu głowy, był zupełnie inną osobą od Lorda Stockbridge wykwintnie ubranego i jeżdżącego na pięknym koniu po Parku o drugiej, rozmawiającego uprzejmie przy obiedzie o dziewiątej, lub przechodzącego z salonu do salonu, z kamelją w dziurce od guzika o jedenastej.

Hardwickowie widzieli go naturalnie kiedy najlepiej wyglądał. Zawsze grzeczny i uprzejmy, odwiedzał brata w kantorze, towarzyszył siostrze konno po ulicach parku, umiał się zastosować do wymuszonego obejścia pana Hardwicke i do oziębłości panny Hardwicke i stał się u nich gościem częstym i pożądanym.

Takim był stan rzeczy w Strathellan House, kiedy Temple De Benham wyjechał na swą wyprawę do Ameryki. Lord Stockbridge zaczął otwarcie składać hołdy bogatej dziedziczce, ona dumna i obojętna jak zawsze, nie zachęcało go ani odtrącało, a pan Hardwicke, szczęśliwy że lord ciągle zasiadał przy jego stole, czuł się jeszcze szczęśliwszym widoczną możliwością, że ten lord zostanie jego szwagrem.

— Lord Stockbridge jest bardzo przyjemnym człowiekiem, mówił pan Hardwicke do siostry, kiedy powracali wolno do domu z zoologicznego ogrodu, jednej niedzieli popołudniu tego samego dnia którego *Ptak Burzy* tam i nazad wymykał się na niebezpiecznych wodach pomiędzy wyspami Bahama i wybrzeżami południowej Karoliny), Lord Stockbridge jest bardzo przyjemnym człowiekiem i zyskuje na bliższem poznaniu.

— Czy tak sądzisz? powiedziała panna Hardwicke.

— Nie, jestem pewny że go nie było, szukałem go wszędzie, i kiedy usiadłaś pytałem się człowieka przy bramie.

— Nie myślałam żeby rzecz tak ważną była i godną tyle trudu dla zapewnienia się o niej.

— On cię bardzo admiruje, Klaudjo, powiedział pan Hardwicke.

Panna Hardwicke przyjęła te słowa z najwyższą obojętnością i nic na nie nie odpowiedziała.

— Jestto nawet coś więcej od zwykłej admiracyi, ciągnął dalej. Jeżeli się wielce nie mylę, a nie zdaje mi się, żebym często się mylił w ocenieniu powodów, Lordem Stockbridge kieruje daleko głębsze uczucie.

— Bardzo być może, powiedziała panna Hardwicke z pogardliwym uśmiechem. Jestem bogatą.

— W zewnętrzne wdzięki, kochana Klaudyo, i w umysłowe przymioty, równie jak w ziemskie dobra. Gotów jestem przyznać, że Lord Stockbridge jest zapewne zmuszony brać pod rozwagę, stronę pieniężną, ponieważ nie mógłby się może ożenić bez majątku; ale dla tego że to co posiadasz może mieć wpływ na niego, nie wypada aby jego uczucia....

— Niewarto o tem mówić, przerwała panna Hardwicke.

— Nie odrzuciłabyś człowieka dobrze urodzonego i mającego stanowisko wysokie, tylko dla tego, że jesteś bogatą a on ubogim.

— Niewiem.

— Ale...

— Ale Lord Stockbridge nie dał mi sposobności przyjęcia go lub odmówienia mu, i zapewne mi jej nie da. Przykroby mi było, gdyby mi wybór w tym względzie narzucono.

— Dziwisz mnie, Klaudyo. Człowiek jak Lord Stockbridge, wykształcony, przystojny...

— Czy mam myśleć że cię prosił żebyś za nim przemawiał? spytała panna Hardwicke.

— Nigdy słowa nie wyrzekł w tym przedmiocie.

— Bądź więc łaskaw pójść za jego przykładem, taki rodzaj rozmowy jest mi niemiły.

Doszli właśnie do furtki wiodącej do ich własnego ogrodu. P. Hardwicke ją otworzył i wpuścił siostrę.

— Niema nic dziwnego w tem Klaudyo, że życzyłbym sobie widzieć cię żoną para, powiedział po chwili, chociażbym miał z tobą się rozłączyć.

Panna Hardwicke spojrzała na niego prawie z czułością.

— Jesteś najlepszym bratem na świecie, powiedziała, ale za drogo mógłbyś okupić to szczęście.

Dochodząc do frontu domu ścieżką prze-prowadzoną wśród kląbów, postrzegli jednego ze służących, przeprowadzającego po drodze dobrze im znaną piękną kasztanowatą klacz.

— Jest tutaj, powiedział p. Hardwicke.

I gdy weszli do sieni, jeden z bliźnich olbrzymów oznajmił im, że Lord Stockbridge znajdował się w salonie.

Zastali go wyglądającego oknem i po cichu pogwizdującego, czujne jednak ucho w tej chwili dosłyszało szelest jedwabnej sukni,

— Służący mi powiedzieli że byliście w ogrodzie, rzekł witając się, ale bałem się minąć z wami w drodze. Czy bardzo ożywiony był ogród dzisiaj?

— Bardzo dużo było osób, odpowiedział p. Hardwicke; szukaliśmy ciebie milordzie.

— Chciałem tam pójść, ale wstąpiwszy do Lady Tollemache, tak się spóźniłem, że wolałem tu przyjść prosto. Przyniosłem pani, rzekł do panny Hardwicke, zaproszenie na bal kostiumowy Lady Tollemache. Spodziewam się, że pani lubisz takie zabawy, bo żeby dostać to zaproszenie, przeniewierzyłem się dziesięciu przykazaniom i mało samobójstwa nie popełniłem.

Panna Hardwicke ślicznie ubrana w jasną jedwabną suknię okrytą bogatemi koronkami i na wpół leżąca na nizkiem krześle, podniosła oczy i lekko się uśmiechnęła.

— Bardzo dziękuję, powiedziała, ale nie znam Lady Tollemache.

— To nic nie znaczy, wiele osób będzie w tem samem położeniu. Ci co dają wielkie bale nie spodziewają się znać wszystkich swoich gości, i w takich razach, każdy prosi o zaproszenia dla siebie i swoich przyjaciół.

— Nie trzeba na to mieć żadnego uczucia osobistej godności, powiedziała panna Hardwicke. Mówię o tych którzy dla siebie żebrzą.

Lord Stockbridge wzruszył ramionami.

— Wszyscy tak robią, odpowiedział. Wiem o ledwej bardzo wielkiej damie, gotowej paść na kolana przed marszałkiem dworu Lady Tollemache, ażeby dostać podobne zaproszenie jakie pani trzymasz w ręku.

— Jakże więc jestem szczęśliwą, i jak wdzięczną powinnabym być! rzekła panna Hardwicke z odcieniem pogardy w głosie.

— Tak, gdybyś pani była tylko kobietą światową, i gdyby jedynym celem twego życia, było wszędzie się pokazywać i codzień być umieszczoną w kolumnach *Morning Postu*.

— Będzie to zapewne bardzo świetny bal.

— Najpiękniejszy w tym roku. Lady Tollemache słynie z doskonałego urządzania swoich zabaw, a tą razą chce siebie prześcignąć. Zresztą książę ma się tam znajdować.

Panna Hardwicke spuściła oczy, i starała się ukryć ruch fizionomii, ale nie mogła powściągnąć lekkiego rumieńca. Parę razy znajdowała się na wielkim obiedzie w City, zaszczyconym obecnością członków rodziny królewskiej, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się spotkać w ich towarzystwie. Zanadto dumna żeby wyrazić swoje zadowolenie, zanadto dumna, żeby nawet je okazać w swojem obejściu, panna Hardwicke zdradziła się tylko tym rumieńcem. Lord Stockbridge, wypatrujący wszystkie podobne oznaki, ujrzał go i zapisał na swoją korzyść.

— Nie mogłabym tam sama się znajdować, powiedziała panna Hardwicke.

— Łatwo znaleść towarzyszkę. Moja matka na przykład, pani Cadogan, byłaby szczęśliwą będąc tam z panią.

— Jakże się przebierzesz, Klaudyo? zapytał p. Hardwicke.

— Chciałem właśnie o to się spytać gdybym był śmiał, powiedział Lord Stockbridge.

— Powinnabym się okryć włosiennicą i popiołem jeżeli tyle grzechów dla mnie popełniono, odpowiedziała panna Hardwicke. Ale czy koniecznie trzeba się przebrać?

— Nie konieczne; ale jestto miło tym co dają bal, i którzy lubią jak najwięcej charakterystycznych strojów widzieć.

— Cóżbyś powiedziała o Kleopatrze? zapytał p. Hardwicke.

— Bardzo pięknie, gdyby wąż był prawdziwym, ale w takim razie, to trochę niewygodne.

— Medea? napomknął Lord Stockbridge.

— Medea i Ristori są jednem i tem samem w oczach świata, a nie mogłabym wyglądać jak Ristori.

— Królowa Ginewra, Medora, Dydona.

Panna Hardwicke zaprzeczyła głową.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 (30) Августа 1875 г.